

AS
Nr. 15
9 KWIETNIA 1939 R
CENA 40 GROSZY
SPECJALNY WIELKANOCNY
NUMER PODRÓŻNICZY
M. NORDENSKJOLDA
M. BARENTSA
W. Niedźwiedzia (norw.)
Granica kry
Prz. Północny
Murmańsk
M. CZARNE
TURCJA
EGIPT
Chartum
El Obeid
REPUBLIK RAD
Jakuck
M. OCHOCKIE
MONGOLJA
Formoza (jap.)
Nw. Irlandja
Nw. Brytanja
Wy. Salomona (br.)
Timor
Nw. Hebrydy
AUSTRALJA
Alice Springs
Townsville
Coolgardie
Brisbane
Sydney
Prz. Południowy
Hobart
Invercargill
Prz. Agulhas

O WIOSNO 1939

JULJUSZ MIEROSZEWSKI

O roku ów 1939-ty!

Wiosna przyszła późno. Chmurne i chłodne były dni marcowe. Brudna woda ciekła z rozmokłych kolein. Dudniły czołgi, ciężkie zmotoryzowane działa i biły rytm pułki piechoty maszerujące w zadymce.

Tuż, tuż grzechotały karabiny maszynowe słowackich i węgierskich samolotów. I znów maszerowały armje poprzez granice.

Kładliśmy się spać, jako mieszkańcy dawnej Europy, a budziliśmy się rankiem w innej, zmienionej. Wiosny tej dobrze było słychać w Polsce ciężki tupot podkutych butów pruskiej piechoty, wkraczającej na obszerny dziedziniec hradczyńskiego zamku. Każdy z nas słyszał w sobie echo żelaznego łoskotu pancernych niemieckich dywizyj, sunących milczącymi asfaltami złotej Pragi. — W marcowej zadymce walił się potop germański masą żelaza, ludzi i broni na słowiańskie ziemie. Płynęły pancerne kolumny przez pełne urodzajnych pól i ogrodów — Morawy, przez zagospodarowane i bogate ziemie Czech.

Cicho było. Nie padł strzał. I może dlatego tak wyraźnie, tak wymownie słychać u nas było w Polsce echo, jakie powtarzały sklepienia starej Pragi, gdy łańcuchy czołgów dudniły po bruku.

Ostatni szczep zachodnich Słowian ginął w żelaznem morzu germańskiem.

Wieczorami, gdy słuchałem przez radjo wieści stamtąd mówionych w twardej mowie niemieckiej, wzrok mój częściej niż dawniej padał na portrety panów w mundurach i przy broni. Napoleońskie czaka dziwnie przypominają nasze rogatywki ułańskie. Czyżby wiosna roku 1939 miała zagrać temi samemi melodjami, które i wy śpiewaliście — mój Boże — w latach dawnych a sławnych?

Mówcie co chcecie, ale wyraźny poszum powiał nad Polską tej wiosny. Poszum jedyny. Zrozumieliśmy go wszyscy — odczuli głęboko. Wszyscy, od Bogumina po Gdynię, od Zaleszczyk po Katowice.

*

Jadę na święta na wieś. Czarno na polach. W rowach i pod poszyciem lasów widnieją brudne łaty śniegu — nagie drzewa stoją skostniałe pod niskiem, chmurnem niebem. Gdzieś w górze dzwoni skowronek zawieszony w chmurach. Potok, który mijamy mówi jednak wyraźnie o wiośnie. Zuchwały, buńczuczny rwie poprzez podmokłe łąki, rozpierając się nonszalancko w ciasnem korycie. Jego buta i temperament mówią wyraźnie, że w lesie, z którego bierze swój początek, dzieją się już nowe rzeczy.

Koła powozu zanurzają się głęboko w rozmokłej rędzinie.

— Autem nie przejechalibyśmy tędy — mówię do furmana.

— Ani czołgiem! — zaśmiał się Jasiek na koźle.

Powoli miasto zapadało się za wieńcem wzgórz i mgłą wieczoru. — Wjeżdżaliśmy w las. Ogarniał mnie wiejski wymiar czasu — patos dali. Olbrzymie buki szumiały nad nami koronami. Pomniejszaliśmy się w cieniu tych drzew — spojrzeliśmy na życie, jak na minjaturę. Miasto płynie, jak rzeka za tym lasem, pamiętającym ileż ludzkich pokoleń?

Więź ziemi. Najwierniejsza z miłości, nieznająca zdrady. Słowo Ojczyzna nie wdeptane w papier czcionkami drukarskiemi, lecz wszczepione wprost w serce przez ziemię i drzewa. Mroczną jak gąszcz lasu i świętą jest owa perspektywa związku mistycznego krwi, ziemi, drzew i człowieka.

Lecz o tych rzeczach ani pisać, ani mówić — bo jak?

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA...

PDRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 15...
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
ARZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 15 **Niedziela, 9 kwietnia 1939** **Rok V**



Ofiarowując swym Czytelnikom i Sympatykom specjalny numer naszego tygodnika, poświęcony podróżom — największej aktualności wiosennej — składa Im serdeczne życzenia „Wesołego Alleluja"

REDAKCJA „ASA".

MARJAN DIENSTL-DĄBROWA

Wieczna wiosna sztuki

Twórczość artystyczna wszystkich czasów i ludów nigdy nie wstrzymywała swego biegu, lecz przyśpieszała go lub opóźniała w rozmaitych epokach. „Cupio dissolvi" (pragnę się rozpłynąć), oto ukryty cel twórczości artystycznej, stwarzającej sobie coraz to nowe urojone światy i własną rzeczywistość. W dziejach sztuki nigdy nie było bezwzględnego zwycięstwa jakiegoś kierunku artystycznego, któryby owładnął wszystkiemi ośrodkami twórczemi swej epoki. W rozmaitych okresach historji powstawały i ginęły całe światy, aby ustąpić miejsca nowym, nadchodzącym z nieubłaganą mocą.

Mocarny pęd do buntu przeciw rzeczywistości, dążność do odnowienia starych form, a szukania nowych, rzeźbiły swe piętno w rozwoju artystycznej myśli. Plastycznym przykładem niekończącej się walki o nowe życie, to Palatyn rzymski pobudowany z pałaców i świątyń, stawianych na rumowisku rozmyślnie niszczonych przez następujących po sobie cezarów wspaniałych budowli. Ambicja cezarów nie dopuszczała myśli, by ktoś inny miał przejść w sławie do potomności. Dziś Palatyn czyni wrażenie piramidy pałaców od Romulusa i Remusa począwszy, aż na ostatnich cezarach skończywszy.

Na gruzach Hellady powstała Roma a na jej zwaliskach Bizancjum i chrześcijańska sztuka. Barwną mozaiką różnorodnych form i kolorów snują się dzieje sztuki od symboliki katakumbowego malarstwa poprzez chłód Bizancjum, powagę romańskich bazylik, strzelistość łuków gotyku, do epoki quattrocenta, kiedy to Angelico da Fiesole wywołał z za świata przepojone wewnętrzną światłością chłopięce chóry prawdziwie niebiańskich aniołów, oświetlonych promiennemi strugami wiosennego świtu. Duch pokornego franciszkańskiego umiłowania przyrody i Boga, — gołębia prostota malarstwa sieneńskiego ustępuje wkrótce miejsca naukowej analizie rysunku Bruneleschiego i pracowitym studjom pierwszych artystów Odrodzenia nad antyczną grecko-rzymską rzeźbą. Każda następująca po sobie epoka tętni swem własnem życiem, nasilonem twórczą genjalnością i bogactwem fantazji swych malarzy i architektów.

Stylizowane według bizantyńskiego kanonu oraz nakazów ikonografji soborów, surowe oblicza madonn ustępują miejsca dziewczęcym zjawom Fra Filippa Lippi, — słodkich uduchowionych głów świętej Dziewicy, skomponowanych muśnięciami pendzla Sandro Botticellego. W dziełach Peruggina i Raffaela powstała arcydziwna harmonja między duchem a ciałem, najdoskonalsza od czasów Praksytelesa. Idyllę niebiańską madonn Raffaela burzy tytaniczna moc genjuszu ludzkości — Michała Anioła, rozsadzającego Sykstynę swą cielesnością wszelką religijną myśl. Po jasno-złotych rozkoszach kolorystycznych Correggia, aksamitnej ciężkości i głębiach barwnej tonacji Tycjana, nadchodzi subtelne „sfumato" Leonarda wraz z zagadkowym uśmiechem wiecznej kobiecości — Giocondy. Finalnym akordem Odrodzenia to malarstwo pełni życia Veronesa, które sypie z weneckiego rogu obfitości na stolicę dożów promienie glorji dworskiego pochlebcy. Mija sława Veronesa, a nadchodzi mocarny Tintoretto „o rysunku Michała Anioła a kolorze Tycjana". stając się prekursorem najbardziej dynamicznej, najbardziej ufnej w swe wartości, — epoki baroku.

Nieubłagany wróg wszelkich poprzednich tendencyj artystycznych barok, rozsadza nie tylko formy i kształty swych malowanych i rzeźbionych postaci, ale sieje zniszczenie wśród zabytków sztuki szlachetnego Odrodzenia. Na ziemne niziny, z patosu wielkich form i dalekich perspektyw sprowadza flamandzkie malarstwo, rozkoszujące się po mieszczańsku, złotemi półcieniami palety Rembrandta i dyscypliną rysunku. Dalsze epoki wypuszczają swe nowe wiosenne pędy. W wersalskich bachanaljach, w których udział biorą wnikliwi malarze życiowej rozkoszy i rozpętanej zmysłowości Watteau i Boucher, pławią się angielscy portreciści osiemnastowieczni, posiadający psychologiczny nalot i wytworność w kompozycjach licznych oficjalnych portretów. Gdy zabrzmiały pierwsze tony Marsyljanki, Delacroix począł wzywać swych rodaków do miłości ojczyzny w potężnych kompozycjach historycznych, a przerażać okrutnemi wizjami wojny, — serdeczny patrjota hiszpański Goya.

Po tych wzlotach romantyzmu następuje nuda akademizmu i historyzmu, ginąca z chwilą rozpoczęcia męczeńskiej, pionierskiej działalności francuskich ojców impresjonizmu, co pierwsi rozwalili pracownie malarskie a wyprowadzili artystów w czarodziejski świat, zalany potokami słońca i orgją barw. Puvis de Chavannes mistyczno-metafizycznemi kompozycjami upomina młodych, rozigranych w tęczach barw i wzywa w Panteonie, do służby narodowi i ojczyźnie. Cézanne rezygnuje z przypadkowości wrażeń natury na korzyść idealnej koncepcji obrazu, aby zatopić się w swej barwnej nadzmysłowości. Promienną kolorystyką wypowiada się Van Gogh. Subtelne badania walorów barwy prowadzone do ostatnich granic powodują odnowę ducha i zwrot ku prymitywowi i zrodzonemu z ducha geometrji — kubizmowi.

Po chaotycznym okresie wrzenia futuryzmu i dzikiej orgji szukania nierozwiązalnych zagadnień następuje era wewnętrznego ładu w człowieku, era nowej rzeczowości. Po uspokojeniu powojennych fluktów nadszedł wreszcie dziś okres jaśniejszego spojrzenia na sztukę, związaną ze swym narodem i życiem. Niespokojnego ducha artystycznej twórczości nie da się ująć w szranki tworzone przez dyktatorów. Jest ona wiecznie kipiącą młodością. Twórczość artystyczna kiełkuje jedynie w odpowiedniej atmosferze, tworzącej niby lotnisko, z którego odrywa się w przestworza nowych uniesień, skomplikowany wielce aparat sztuki, nieznającej swego celu i kresu!

GUIDO RENI: „Archanioł Michał strącający szatana". — Obraz w kościele O. O. Kapucynów w Rzymie.



KĄCIK FILATELISTYCZNY



Znaczki pocztowe ze wszystkich części świata przedstawiające oryginalne widoki natury, pomniki, budowle itd. W górnym rzędzie od lewej: znaczki Belgji, Wysp Hawajskich oraz Islandji, w drugim rzędzie: Nowej Funlandji, Egiptu oraz Cejlonu, w trzecim rzędzie: francuskiego Sudanu, Rodezji oraz Algieru, u dołu: znaczek Belgijskiego Konga i U. S. A. z wodospadem Niagary.

W chwili, gdy sprawy prywatne lub też „res publicae" nie mogą być źródłem dobrego humoru, filatelista ucieka łatwo w daleką podróż. Nie przeszkadzają mu ani przepisy dewizowe i paszportowe, może wędrować swobodnie poprzez linje frontów i nie wychodząc ze swego pokoju, oglądać dziwy świata, reprodukowane w minjaturze na znaczkach pocztowych.

Jeden krok dzieli nas od katedry w Brukseli — obok której widzimy w tej samej serji świątynie wzniesione ku czci innych nieznanych nam naogół patronów kraju Wallonów i Flamandów (Waltrudisa, Romualda, Bavo, Gudula) — jeden ruch ręki przenosi nas łatwo na inną kartę abumu, gdzie spostrzegamy pomnik najbardziej egzotycznego



Serja znaczków najmłodszego kraju w Europie: Słowacji.

z królów Kamehameha I, zwanego nawet Napoleonem Wysp Hawajskich. Wracamy potem do Europy, gdzie na Islandji niezwykły gejzer ożywia posępną krainę.

Dzisiaj podróż taka w rzeczywistości na pokładzie olbrzyma powietrznego „Yankee Clipper" to kwestja paru godzin, jakżeż jednak inaczej trzeba było żeglować po Nilu, gdy w zamierzchłej przeszłości dziwacznie ustawiony żagiel tylko niewiele pomagał wiosłującym niewolnikom. Na wodach innej potężnej rzeki Afryki dopiero 3000 lat później biali przybysze spuścili okręt przezwany dźwięcznie „tuku-tuku" przez murzynów, a jeszcze inną rzekę (Zambezi) poskromiono w r. 1905 budując nad nią most w pobliżu olbrzymich wodospadów Wiktorji.

Mniej okazale przedstawia się Niagara, ale takie wrażenie możnaby odnieść tylko ze znaczka amerykańskiego i szkoda, że brak tu miejsce, aby pokazać wodospady Orinoko lub dopływów Amazonki.

Fotografja — nawet stereoskopowa — nie jest w stanie pokazać nam tego, co oczy oglądają w rzeczywistości i chociaż niema takiego podróżnika na świecie, któryby zwiedzał te wszystkie lądy, z których przywędrowały znaczki do skromnego nawet albumu — to przecież

JUŻ KLEOPATRA
używała olejku oliwkowego

Tysiące lat temu, królowe starożytnego Egiptu znały wartość olejku oliwkowego dla pielęgnacji cery. Ich skóra była słynna na całym świecie ze swej brzoskwiniowej, delikatnej świeżości!

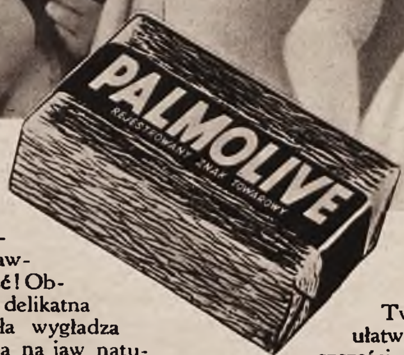




Czasy się zmieniają. Prawa natury pozostają jednak bez zmiany! Dotychczas olejek oliwkowy jest niezastąpiony dla pielęgnacji skóry. Czysty, łagodny olejek oliwkowy, który użyty jest do wyrobu słynnego mydła Palmolive.



Kąpiel przy użyciu mydła Palmolive !!! Dzięki olejkowi oliwkowemu, to prawdziwa przyjemność! Obfita, łagodna i delikatna piana tego mydła wygładza skórę i wydobywa na jaw naturalny jej urok. Dwa razy dziennie w ciągu 2 minut masuj twarz pianą mydła Palmolive.





Matko! Zapewnij Twemu dziecku piękną cerę na całe życie! Twoje dzisiejsze starania ułatwią dziecku znalezienie szczęścia w przyszłości. Używaj Palmolive, mydła Pięcioraczków na olejku oliwkowym — a zapewnisz sobie i dziecku piękną cerę.

---

pobudzona wyobraźnia zachęci niejednego zbieracza do turystyki i te dwa zamiłowania mogą się doskonale uzupełniać.

Zapowiadamy szereg ciekawych znaczków, które zareprodukujemy w najbliższym numerze: Francja wydała po raz pierwszy znaczek trójbarwny, z dopłatą na „Czerwony Krzyż", który w tym roku obchodzi jubileusz 75-lecia istnienia, w Stanach Zjednoczonych ukazał się piękny egzemplarz za 3 c. z widokiem „Złotych Wrót", a twórca szwedzkiej gimnastyki Ling został słusznie uwieczniony na małej sercji, złożonej z dwu znaczków ząbkowanych, pionowo za 5 i 25 öre oraz czterostronnie ząbkowanej sztuki za 5 öre.

Blok litewski pojawił się w nieco spóźnionym terminie po rocznicy 20-lecia odzyskania niepodległości.

Witold Horain.



ODPOWIEDZI REDAKCJI.

R. N. Włocławek. Znaczki Słowacji ukazały się dotychczas tylko w najniższych wartościach. O wszystkich nowych wydaniach będziemy zawiadamiali natychmiast.

M. Lub. Warszawa. Znaczek gazetowy z Merkurym (niebieski), o ile ma pełne brzegi, posiada wartość 9 zł. W innych kolorach należy do największych rzadkości. To, że tylko uniknął stempla, ustala wobec braku gumy wartość do poziomu stemplowanego lub 30% czystego.

„Filatelista" Lublin. Gryżewski, Warszawa, Królewska 35, Przybory Filatelistyczne, Kraków, Pierackiego 8, Gotfryd, Kraków, Basztowa 18.

Zebrania Sekcji Filatelistycznej Krakowskiego Klubu Towarzyskiego odbywają się co wtorek g. 19—22, ul. Felicjanek 6, I p.

Nie, proszę Pana, mimo upodobnionego opakowania to nie jest „to samo"...

Jedynie NIVEA zawiera EUCERYT, środek wzmacniający skórę. Dlatego też

żądam wyraźnie kremu NIVEA

i nie dam się namówić na coś innego, co ma być rzekomo tak samo dobre.



Krem NIVEA znajduje się w handlu tylko w znanych niebieskich pudełkach z białymi napisami w okrągłym obramowaniu po cenie zł 0,40, 0,75, 1,40 i 2,60. Przestrzegamy zatem przed nabywaniem kremu, sprzedawanego na wagę pod nazwą NIVEA.





20 DZIELNIC PARYŻA

TEKST I RYSUNKI: JANUSZ MARJA BRZESKI

Działanie i oddziaływanie są zawsze równe co do wielkości, a kierunki mają przeciwne.

(Zasada dynamiki Newtona).



Przystanek Palais Royal. Na ścianach afisze „Au printemps", „Bebé Cadum". Pociąg rusza gwałtownie. W stukocie kół i blasku zielonych błyskawic znika z peronu. Jeszcze chwilę widać czerwone światła. Zjonizowane elektrycznemi iskrami powietrze bucha strugą. W dali słychać dzwonki.

Aneta mija zaporę i wyrzuca bielt. Zbliża się ku wyjściu na przywitanie ulicy pachnącej spaloną benzyną. Ostatnie stopnie przebiega prawie. Aneta nienawidzi Metra. Zazwyczaj jeździ taksówką. Bawią ją wysokie napiwki które daje i podziwia siebie, że tak mało jest Francuską. Nad drzwiami pod powałą szumią wentylatory.

Czy to wszystko ma sens? — myśli Aneta. Wspomnienie tego co się przed chwilą wydarzyło, napawa ją wściekłością. Nie, owszem, tak będzie najlepiej — mówią szeptem wargi.

Pójdzie do Duval'a. Zje kolację. A potem do kina. W „Electric" idzie film: „Napoleon na św. Helenie". Aneta należy do typów, które nie szukają wesołości gdy gnębi je trudne przeżycie, lub zły humor. Aneta lubi topić swe kłopoty w morzu prawdziwego tragizmu. Wtedy drży cała, rozczula się i zapomina o sobie.

Dzisiaj wie, że nie będzie zazdrościć przytulonym do siebie ludziom. Zna te wszystkie płochliwe dotknięcia, tak delikatne i tak bolesne. Ach jak on — Rudolf — mógł zrobć coś takiego!...

Aneta czuje się biedną i po raz pierwszy opuszczoną w tem wielkiem mieście. Myśli o filmie. Napoleon... W dziewczynie rosną uczucia patrjotyzmu. Rumieńce występują na policzki. Przyśpiesza kroku. Co zjeść na kolację?

W każdym razie na zakończenie banan. Owoce są pożywne, a ona musi być teraz silna. Niewiadomo co ją czeka...

Co ją czeka? Aneta znowu myśli o kinie. Jeszcze przed zgaszeniem świateł na widowni ramiona otoczą ciała...

Jest wolny stolik. Aneta je szybko, bez przekonania. Absorbuje ją kino i samotność. Już Napoleon przestaje być uosobieniem tragizmu. Miał przecież chwile upajającej wielkości i rozkoszy. A ona? Aneta?

— Dziś znowu iluminacja w galerjach Louvre'u — mówi kelner. — To musi

wyglądać wspaniale. Poczem dodaje: A jednak dobrze, żeśmy wyrzucili królów. Nie byłoby tego wszystkiego. Dziś zarobiłem więcej z powodu tej uroczystości. Ludzie wolą zjeść w pobliżu wystawy kolację...

Aneta zdecydowała się. Pójdzie do muzeum. Po raz pierwszy w życiu. I to wieczorem. Przeczuwa, że będzie tam wytworna publiczność. Zazdrości damom, ale umie je podziwiać i naśladować. Jej wzrost, długie nogi, pięknie związane ramiona... Ach nie może myśleć. Przypomina sobie, że jej ramiona jeszcze przed paru godzinami obejmowały Rudolfa. Przeżywa nową falę bólu.

Aneta mija obrazy, sale, galerje. Hera z Samos, Wenus Milońska, nie zasłużyły na jej spojrzenia. Zmęczona siada na kanapce. Światła kładą się wkoło, prześwietlając wieki. Z cieni wynurza się nagi Marsa w szyszaku. Aneta bacznem okiem mierzy jego mięśnie, spogląda w twarz. Wydaje jej się, że kamienna postać nabiera zwolna kolorów żywego człowieka.

— Boże! ten Rudolf — szepce dziewczyna.

Zrywa się. Myśli tylko o tem żeby znaleźć taksówkę i by jak najprędzej być już w VI dzielnicy przy Rudolfie.

W hallu Nike z Samotraki rozpościera skrzydła by uwieńczyć jeszcze jedno zwycięstwo mężczyzny.

* * *

— Nie jesteś już moją córką! — krzyczy kobieta.

Modelka poczerwieniała. Jej nagość nie krępowała jej gdy w pracowni był mężczyzna, ten rzeźbiarz. Ale teraz zapiekło ją pod spojrzeniem matki całe młode ciało.

— I oto pierwsze moje zetknięcie ze sztuką zostało przypieczętowane — mówi modelka, gdy drzwi się już zatrzasnęły.

Z miną uwolnionej przez tłum Fryne — kładzie się dziewczyna na tapczanie.

— Muszę ci się zwierzyć — rzuca nagle modelka. Będę nieszczęśliwa, jeśli nie pozwolisz mi opowiedzieć o sobie.

— I dlatego chcesz mnie unieszczęśliwić?

— ...Je suis née le 2 octobre 1901, en Bourgogne...

Rzeźbiarz patrzy uważnie na dziewczynę. Nie rozumie, co skłania modelkę do heroicznego wyznania wieku.

— Kiedy nieco podrosłam, wysłano mnie do Paryża. Miałam na głowie niebieski beret z czerwonym pomponem. Byłam egzaltowanem dzieckiem, skłonnem do marzeń. Nie byłam ładna. Może oryginalna. W trzynastym roku życia ukończyłam edukację. Nauczono mnie pisać i rachować. Do szkoły nie miałam powrócić już nigdy. W tym czasie przyglądałam się kolumnom żołnierzy idących na front. Wiedziałam, że wielu z nich zginie. Odczuwałam żal i litość dla tych młodych mężczyzn. Wtedy obudziła się we mnie kobieta, która zapragnęła oddania i miłości. Czułam instynktownie ile wspomnienie mego ciała dałoby siły żołnierzowi w godzinach walki. Otoczyła mnie wiosna. Było to jesienią 1914 roku...

— W jakiś czas później awansuję. Pomagam w piekarni i zarabiam 4 fr. dziennie. Ale szczęście nie trwa długo. Tracę posadę. Sama nie wiem, co z sobą zrobić i wtedy spotykam ciebie. Od tego czasu minęło zaledwie parę tygodni i już oto wkroczyła rodzina...

Modelka leży naga i nie pragnie okryć swego ciała — odsłaniając duszę.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Czas mija. Kiki mieszka w okolicy dworca Montparnasse. Pozuje wielu artystom. Zarabia nieźle. Wieczorami przesiaduje w kawiarniach „Dome" i „Rotonde". Obiady połyka u „dobrej matki Rozalji", gdzie poznaje włoskiego malarza Modiglianiego.

Kiki staje się atrakcją Quartier. Po jej występach w Jockey-Club, tej odrapanej budzie na bulwarze Montparnasse — imię Kiki powtarza z entuzjazmem Nowy Jork, Londyn, Rzym.

Rok 1929. Ulica Cherche-Midi nr. 5. Godzina piąta po północy. Wernisaż wystawy obrazów Kiki. Malująca modelka! Fraki. Piękne kobiety. Ekstrawaganccy statyści z Parnasu, handlarze kokiną.

Recenzenci „Paris Times" i „Le Soir" gną się w ukłonach. Kiki uradowana traktuje całą sprawę jak jeszcze jeden skandal. W niedługiej przyszłości H. Broca wyda pamiętniki Kiki, które rozkupią turyści jako souvenire. Wspomnienie Paryża i kokotki, która wraz z wielkimi ludźmi dźwigała sławę Montparnasse'u — tej XIV dzielnicy Paryża.

* * *

Miasto urywa się. Kończy je wysoki wał obronny kamienic, który jest oblegany przez biedę i rupiecie. Dalej podziurawiona ziemia. Kilka bud. Parkany ustawione przez żydowskich nędzarzy, jak na przedmieściach Witebska. Bezradne konary drzew mokną we mgle.

Ludzie z Paryża przyjeżdżają tu jak do kolonji. Węszą — przewracają stosy trybków do zegarków, sztucznych szczęk, celuloidowych mankietów, zapomnianych wieńców ze srebrnych godów, ludzkich strapień, fotografij dziadków, uperfumowanych peruk teatralnych z okresu Fine de Siecle, orjentalnej tandety, pogiętego żelastwa, gum samochodowych, upodlenia.

Wszystko co wielkie miasto odepchnęło i wyrzuciło poza swe granice, zgromadzono tu przy odgłosie katarynek i w zapachu smażonych na trotuarze pommes frites — na tandecie w XVIII dzielnicy.

Triumfuje tu bieda i przypadek. Rubensy i totemy toną w rupieciach. Dzieci nie znają Boga i uczą się zasadzek i nienawiści. Dzielnica leży poza wzgórzem Montmartreu. Nie widać stąd Sacre Coeure, ani nie dociera tu strumień złota, biorący źródło na placu Tertre. Nawet wiosna jest tu szara, tonąca we mgle i błocie. Rozkopane szare pobojowiska z nad Sommy.

* * *

„Café Lutetia". Do stołu podają Cincano sec. Ta obok jest pewno Hiszpanką. Mocny, wydatny biust, oliwkowa cera, oczy błyszczą wilgotno. Usta rozchylone zapraszają. Rosina. Jest studentką z Sorbony. Studjuje filozofję dla zabicia czasu przegradzającego dwie przygody.

Niegdyś przed podbojem Galji przez Rzymian — Parisii — było stolicą Celtów, miastem bogatem, handlowem. W jakiś czas potem Rzymianie nazwali osadę Lutecją.

— Przychodząc tu — mówi Rosina do wypomadowanego kwaterona z Południowej Ameryki — myślę o murach łaźni rzymskich, które kryje ta ziemia.

W r. 360 po Chr. Lutecja była rezydencją Juljana, którego obwołano cesarzem. Potem mieszkali tu Konstancjusz i Konstantyn. W 486 r. Lutecję zdobywają Frankowie a Klodwig obiera ją swą stolicą. Odtąd pomimo normandzkich klęsk i pożogi rośnie Lutecja — teraz Paryż.

— Jutro chcę odwiedzić szczyt wieży Eiffla. Czy pójdziesz ze mną? — pyta Rosina.

Słowa odpowiedzi giną w ciżbie. Dwóch chińskich handlarzy wymuskanych i ustępliwych przemyka obok. Ale oto i schody kolejki podziemnej. Urzędnik murzyn przecina bilet. Przystanek: Babylone.

* * *

Aneta jak burza wpada do hotelu. Czy aby jest? — myśli rozgorączkowana. Ale Rudolf wyszedł. Aneta myśli z rozpaczą, że może chłopak szuka jej teraz, albo urażony zrobił coś złego. Dziewczyna rusza bulwarem St. Michel. Szuka znajomej twarzy w zadymionych kawiarniach. Ktoś kładzie rękę na jej ramieniu. Rudolf! Ale nie... Jean i Martin. Czy widzieli Rudolfa? Nie, nie widzieli go. Zmęczeni i zrezygnowani kończą poszukiwania. Idą teraz pod



sztachetami Luxemburga. Ciągnie chłód od zieleni pogrążonej w mroku. W zagięciu muru ktoś leży na nędznym pledzie. Żebrak.

— Macie tu ojcze! Aneta rzuca pięć franków.

Dźwięk monety o bruk podrywa starca. Kłania się.

— Gdzie idziecie, moje dzieci? — pyta.

— Szukamy kogoś...

— Znajdziecie go na dworcu. To jedyne miejsce, gdzie krzyżują się drogi wszystkich ludzi.

* * *

Szczupły chłopak w płaszczu koloru bleu z podniesionym kołnierzem usiadł w rogu kawiarni. Przez wilgotne szyby wpadają do wnętrza zielone smugi latarń ulicznych. Godzina czwarta nad ranem. Bulwar jest cichy i umęczony.

Chłopak w płaszczu bleu — komponuje sonet. Czyta uważnie linje drobnego pisma i popija absynt. Otwierają się drzwi i w zapachu anyżu staje nad poetą jego muza.

— Usiądź, przeczytam ci — mówi chłopiec. I podczas gdy on szepce strofy — ona muska palcami jego lśniące loki i gorącemi ustami dotyka ucha.

Dokończenie na str. 10-tej.







Dokończenie ze str. 9-tej.

Chmury nad placem Blanche pękły i ze szczeliny wylał się na Paryż, popielaty dzień.

* * *

Wzgórze cmentarza Père Lachaise.

Ten mały Neapol, zbudowany nad morzem dachów Paryża — stał się atrakcją. Praktyczne wieńce z porcelany, szkła i żelaza dzwonią za podmuchem wiatru u zaryglowanych bram małych domków, oznaczonych stygmatem śmierci. Wkoło szum kroków, modlitwy i szeptu. W rękach przechodniów książki do nabożeństwa i Baedeckery. Turyści w Paryżu oglądają wszystko skrzętnie.

Dzień zaduszny. Głosy cichną. Chwieje się fioletowa łuna nad cmentarzem i białem krematorjum. Do autobusów trudno się docisnąć.

* * *

Przeciągły gwizd odbija się dwukrotnem echem. Kłęby pary z lokomotywy rozwiewają się w efemerycznych skrętach pod stropem hali dworcowej. Ludzie, pakunki, maszyny drzemią w czujnem oczekiwaniu.

Aneta szybko przebiega perony. Rudolfa nie było w poczekalni ani w restauracji.

I kiedy już dziewczyna zwątpiła, by to było możliwe, aby Rudolf miał wyjechać do domu, spostrzega jego złote włosy w oknie przedziału. Serce zaczyna bić mocniej.

— Ach Rudolfie!... — szepce tylko i przyciska się do mężczyzny.

Po chwili czuje, że chłopiec otacza ją ramieniem. Wychodzą poza żelazne pręty peronu — pojednani.

I kiedy Paryż budzi się — wkraczają do czarnej czeluści nocy i snów, pokonani i niezdolni do dalszej walki.

BURKA

★

ANATOL KRAKOWIECKI

NOWELA

Gdzie umarła Burka, nie wiadomo. Leżała wycieńczona na swojem posłaniu w kuchni, na kołderce, umieszczonej w paczce. Patrzyła słabo, kiedy się do niej mówiło, ale już prawie się nie ruszała. Widać było, że umierała ze starości. O jedzeniu mowy nie było. Drzwi od kuchni były otwarte, bo już ciepłe dni nadeszły, i nikt nie zauważył, kiedy zdołała wymknąć się do sieni, a potem w ogród, w sad, a może dalej w pole.

Nie było śladu po niej. Nie wróciła — i tak poprostu zakończyła żywot. Słyszałem o tem, że zwierzęta domowe umierają nie wiadomo gdzie, że nigdy nie spotkano szkieletu kota, czy psa, który zdechł ze starości. Mówiono o tem w kuchni i w oborze — czasami. Ale ja pamiętałem o tem i zacząłem starannie szukać Burki. Szukałem ją zresztą w nadziei, że może jeszcze żyje. Przetrząsnąłem każdą grządkę w ogrodzie warzywnym, zajrzałem pod każdy krzak agrestu, pod każde drzewo w sadzie — nigdzie ani śladu.

Razem z ojcem przeszukaliśmy skrzętnie cały dom i strych i tzw. „lamus' i oborę, wreszcie wyszedłem w pole. Bezskutecznie, daremnie. Za domami ciągnęło się skrawkiem pole, które potem wchodziło w łąkę. Dalej biegł tor kolejowy na nasypie metrowej przeszło wysokości. Przed torem, równolegle do niego, płynęła rzeczka niewielka i bardzo czysta. Skręcała następnie popod tor, pod mostek, gdzie stanąć mógł dorosły człowiek i swobodnie wyciągnąć rękę (tak było wysoko), a potem do rzeki kręto, długo, daleko. A z rzeką razem wpadała do Wisły. Wiedziałem, gdzie wpadała, bo byłem tam, u ujścia. Naprzód spora górka, zalesiona, następnie wyniosła skała, na której widać ruiny klasztoru tynieckiego — naprzeciw wzgórze, z poza którego wyglądała iglasto smukła wieża kościelna, choć sam kościół schował się przed naszemi oczyma. W takiej okolicy wpadała nasza rzeka do Wisły.

Siadałem więc nad brzegiem rzeczki i wpatrywałem się w jej skwapliwy nurt. A potem wędrowałem wzrokiem po równinnej łące i po lesie sinym i kolorowym, który piął się w górę. Albowiem odkryłem tajemnicę i nie miała ona dla mnie żadnych wątpliwości.

— Zwierzęta polskie umierają w Bałtyku. Właśnie Bałtyk jest cmentarzyskiem zwierząt, które umarły w Polsce.

Nie mówiłem o tem nikomu, choć to było dla mnie takie oczywiste. Obawiałem się drwin. Nawet matce nie rzekłem ani słowa, choć tak chciało się powiedzieć:

— Mamo, ja wiem, co się stało z Burką...

Ale nawet matka mogłaby nie przejąć się tem odkryciem. Mogła naprzykład zauważyć:

— Możebyś przestał myśleć o głupstwach, a wziął się do lekcyj...

Przeto siedziałem nad rzeczką, na wilgotnej trawie i płynąłem. Czasem podnosił ramię semafor i pociągi przejeżdżały kolo mnie. Zawsze odjeżdżały tymi pociągami moje marzenia — teraz pociągi nie były już ważne. Albowiem moje marzenia płynęły. — Rzeczką do rzeki, rzeką do Wisły, Wisłą do morza. Tak przez kilka dni temu płynęła Burka, martwa, bezwładna i taka biedna! Towarzyszyłem jej myślami. Minęła już Kraków i codziennie obliczałem — oczywiście tak na chybił trafił — gdzie też może być. Do Sandomierza (uczyłem się tego na mapie) Burka płynęła dostojnie, ale potem nagle nabrała rozpędu. Wbrew prawom natury zaczęła płynąć coraz prędzej. Przez Warszawę przemknęła, jak strzała. Albowiem największy nawet żal, rzucony na skrzydła czasu, wtapia się zwolna w błękit dnia rzeczywistego. To też, choć kochałem Burkę, choć było mi jej serdecznie żal, serce moje chciało jaknajprędzej powrócić już do tutejszości.

W cztery, może w pięć dni potem oświadczyłem Wabikowi:

— A więc dziś pochowałem Burkę w morzu Bałtyckiem, rozumiesz durny psie? Morze, to jest taka wielka, bardzo wielka miednica, napełniona wodą i tej wody jest bardzo dużo.

Wabika kąpało się bowiem na miednicy starej, dobrze wysłużonej, z dnem, z którego odpadła — może to się tak nazywa? — glazura, wielokrotnie już łatanej przez wędrownych Słowaków, co to krzyczeli: „garnki drutować!" i co samo w sobie było pasjonującem widowiskiem. Więc Wabik powinien był zrozumieć i z pewnością zrozumiał. Było to stworzenie, pozbawione jakiejkolwiek rasy, ale wybitnie inteligentne.

— A gdzie to Wabik? — mówiło się przy obiedzie. — Oczywiście śpi, bo to dziś piątek, niema mięsa.

Za młodu w każdy piątek włóczył się dookoła domu, zapuszczając się niekiedy dość daleko, a na starość cały dzień piątkowy przesypiał. Kiedy nie czuł zapachu mięsa, świat tracił dla niego sens, a on sam rację bytu. I zasypiał.

Czasami zdarzały się zabawne nieporozumienia.

— Ocho, Wabik jest zdenerwowany, bo są suche dni.

W psiej głowie nie mogło się bowiem pomieścić, że istnieje coś podobnie potwornego, jak post nie w piątek. Już powszechnie przez jeden dzień w tygodniu uważał Wabik za wielką przesadę, ale — suche dni? Lazł do kuchni, podnosił pysk i łapał nosem powietrze. Nie, nic nie pachnie. Za pół godziny manewr się powtarzał — nie pomaga. Kiedy straszliwa prawda dotarła do jego świadomości, pies szedł osowiały na swoje miejsce i starał się zasnąć. Był obrażony, dotknięty osobistą szykaną.

— Tak, więc twoja przyjaciółka, Burka, spoczęła w wielkim cmentarzu zwierząt!

Dodałem i pomyślałem, ale tak bardzo dyskretnie, tak kątem mózgu, że i on kiedyś podąży tą drogą, tą żałobną drogą zwierząt. Nie powiedziałem tego — bo nuż gadzina zrozumiałaby to? Wtedy nie przeczuwałem — ani on — że czeka go śmierć gwałtowna. Zginął mianowicie pod autobusem, jednym z kilkudziesięciu, które wiozły wojska niemieckie na ofenzywę pod Gorlice. Został wgnieciony w szosę, wbity w kamienie, rozjechany tak doszczętnie, że już zbierać nie było co. Kilkadziesiąt kół autobusowych przeszło po nim.

— A więc, stary psie, twoja przyjaciółka umarła i teraz zostaliśmy sami.

Nie sądzę, abym mu powiedział rewelację. Zdaję sobie sprawę, że lepiej wiedział o tem, niż ja. Na tydzień przed śmiercią Burki przestał ją uznawać. Jak tylko zachorowała, obchodził ją z daleka, przestała dla niego istnieć — gorzej, drażniła go, czuć ją było śmiercią.

Albowiem przyjaźń kota i psa, czyli Burki i Wabika, była przyjaźnią nieco konwencjonalną, aby była naprawdę szczerą. Siadywali jedno koło drugiego, przeganiali się po podwórzu, a nawet jedli z jednej miski. Wabik miał prawo patrzeć na młode dzieci Burki, a nawet je obwąchać — nie wzbudzało to żadnych zastrzeżeń u kotki. Ale czasem jakieś nieporozumienie powstawało między nimi i to zawsze nagle, znienacka, nie wiadomo dlaczego. Burka biła Wabika łapą w pysk, że aż skomlał. I wyrywał, co sił. — A więc ta przyjaźń była dość problematyczna i utrzymywana jedynie dla nas, dla oczu ludzkich.

Zresztą możnaby się spierać na temat wyższości psa nad kotem. Raczej jest odwrotnie. Tylko że kot jest płochliwszy i słabszy. Woli schronić się na parkan i ignorować napastnika. Ale kiedy kot ucieknie przed psem na drzewo, bynajmniej nie pnie się na najwyższą gałąź, jakby zrobił prawdziwy tchórz. Najspokojniej siada na najniższej, ale bezpiecznej już gałęzi i bardzo często zaczyna się najspokojniej — myć, choć wróg szaleje poniżej, gryząc z wściekłości korę.

Tak zachowywała się Burka. Nie chcę narażać na szwank swej prawdomówności, ale mam pełne przekonanie, że ta „spryciara" robiła to umyślnie, aby prowokować psa. Raz omal nie została ściągnięta przez jakiegoś kundla, który podskoczywszy, już ją uchwycił. Zdołała się wyrwać i przeniosła na następną zkolei wyższą gałąź i tam kończyła toaletę.

— Burka to jest szelma — mówiła służba, która to obserwowała.

Rzeczywiście zimnokrwista z niej była gadzina!

— Pamiętasz, Wabik, jaka Burka była odważna?

Wabik machnął kilka razy ogonkiem i szczeknął. Napewno pamiętał. Burka była odważna; nawet za bardzo jak na jego osobiste wymagania. Zawsze była górą, chroniona zresztą przez domowników w razie zwady z Wabikiem. Bo, trzeba stwierdzić to odrazu, Wabik, taki pokorny wobec kotki, był psem wręcz nieustraszonym. Dał na to liczne dowody, a dokumentem były uszy jego, porwane w fantastyczne strzępki.

— A czy przypominasz sobie, jak walczyłeś po jej stronie?

To była sprawa zupełnie niezwykła. Burka raz urodziła kilkoro kociąt czarno-białych, choć sama była — jak to już nazwa wskazuje — zupełnie bura. Jedna mała kotka ostała się. Nazywała się — Mićka. Inne kociaki powędrowały do sąsiadów. I oto pierwszy samodzielny spacer Mićki omal nie skończył się tragicznie. Wyszła na podwórko i oglądała świat, pełen pasjonujących spraw, odgłosów i szelestów. Chodziła w słońcu, jak w ulewie.

Aż nagle wyskoczył na nią jakiś straszny stwór. Rozszczekany, oszalały, zapieniony pies od sąsiadów, zły pies i głupi. Taka zapluta, wrzaskliwa wściekłość, taki demon obłąkanych ruchów i rudy kłąb zachrypniętego hałasu, który zdołałby zburzyć świat, gdyby świat wrzaskiem można było choćby o milimetr poruszyć.

Instynkt zaprowadził — ach, nie, nie zaprowadził, to takie powolne słowo — instynkt zmiótł Mićkę na parkan. W ciągu ułamka sekundy balansowała na szczycie dwóch sztachet. Chwiała się, śmiertelnie przerażona, z trudem utrzymując równowagę. Nawet syczeć i pluć nie mogła, a każdego zjeżonego jej włoska czepiała się śmierć, nieuchronna, jak przeznaczenie.

Ale przeznaczenie chciało inaczej, a wykonawczynią jego była Burka. Właśnie szukałem tęgiego kija, by przepędzić rozwścieczonego bydlaka, czego gołemi rękoma nie mógłbym dokonać, kiedy w dramat wkroczyła Burka. Skąd się wzięła — ktoż to wie? Wyskoczyła z boku wprost na psa. Ale pies, oślepiony żądzą krwi, nie spostrzegł jej. — Więc rzuciła się — dosłownie — na niego. Ruchem, który Wabik tak dobrze znał, ale którym tak zdecydowanie pogardzał, otóż ruchem łapy przejechała psu po mordzie, psu olbrzymowi. Pracowite pazury wykonały sprawnie zadanie. Pies zaskowyczał i zawył. Krew zalała mu oczy. Skoczył na Burkę, A kocica ścigała, jak błyskawica.

Czy widzieliście kiedy lot zimorodka nad rzeczką? Źle mówię — lotu zimorodka widzieć nie można, można tylko spostrzec: taka błękitna kreska nad nurtem. To jest szybkość!

Tak gnała Burka. Kluczyła zygzakiem tuż przed mordą psa. Zawracała, podskakiwała, skręcała w bok — ale była coraz dalej. Nie da się opisać, co się działo z psem. Już nie szczekał, ale wył, wył, gnając, szarpiąc się w boki, kręcąc dookoła.

Wreszcie — sad, a w sadzie drzewa. Jeden skok Burki na gałęzie. To było coś więcej,

niż skok kota. Tak skacze wiewiórka, tak skacze małpa. Tak zawisła w powietrzu.

Burka była uratowana, Mićka też. Burka siedziała na gałęzi, widocznie zmęczona nie nadludzko, ale nadzwierzęco. Parskała i z pewnością drżała.

Ja przedewszystkiem zdjąłem z płotu Mićkę, która w mych rękach była jednem wielkiem, przerażonem, tętniącem rozgłośnie sercem. Ponieważ sień wydała się mi zbyt niebezpieczna, zaniosłem ją aż do kuchni, postawiłem na podłodze i skrzętnie zamknąłem drzwi. W sieni leżała porzucona kopaczka. Teraz ja na odmianę ruszyłem na odsiecz.

A Burka siedziała nadal na drzewie. Ale była już najspokojniejszą w świecie. Jakby nie było w tej bestji, tego żywiołu, miotającego się dookoła pnia drzewa. Usadziła się wygodnie i języczkiem — wiem jaki ten język jest szorstki — oblizywała przednią łapkę. A potem łapką tą głaskała swoje futerko, widocznie zabrudzone w czasie pościgu. To wściekłe bydle zupełnie dla niej nie istniało, choć chyba połowa miasteczka była zaalarmowana jego rozgłośnem szaleństwem.

A napewno zaalarmowany był Wabik, który przypędził zdyszany. Zdaje się był na wizycie — wiem, że miał flirt o kilka domów dalej. Ale ponieważ w domu, w jego domu, zaszło coś denerwującego, gnał z pomocą. Pierwszy ruszył na wroga, bez sekundy zastanowienia. — Z niezadowoleniem trzeba stwierdzić, że na widok oszalałego olbrzyma, sam zaraz oszalał. Zaczął się straszliwy taniec. Obcy pies rzucał się na mnie i z trudem daliśmy sobie — ja i Wabik — z nim radę. Ostatecznie przepędziliśmy go. Widzę jeszcze Wabika, uwieszonego kłami za pośladki wroga.

Kiedy matka wróciła do domu, Burka chodziła za nią i pomiaukiwała.

— Co jest z tym kotem dzisiaj, czego Burka chce? — dziwowała się matka. Opowiedziałem całe wydarzenie.

— Ach, wiem, Burka prosi o mleko dla Mićki.

Ach, jak dobrze matka rozumiała Burkę i nawzajem.

— Mićka! Mićka! — zaczęło się wołanie. Odpowiadała cisza. Wreszcie usłyszeliśmy ciche miauknięcie i Mićka wylazła z jakiegoś zakamarka. Muszę bowiem zaznaczyć, że Burka nauczyła już córeczkę dobrych manier.

— Dobrze wychowany kot, musi się odezwać, kiedy go wołają — tak z pewnością mówiła. — Może wogóle się nie ruszyć z miejsca, jeśli mu się nie chce, albo jeśli mu się tak podoba, ale odezwać się musi.

Sama zawsze stosowała tę metodę. A teraz poprowadziła Mićkę do talerzyka z mlekiem. Sama liznęła dwa razy, żeby zachęcić córkę. A potem usiadła obok i patrzyła tylko z zadowoleniem, jak mała się opijała. I zaczęła mruczeć. W takich wypadkach mówiło się w domu:

— Kot odmawia pacierze.

Być może! Może dziękowała Opatrzności. Ale za co? Chyba za to, że sama miała serce aż tak bohaterskie.

Takie to były — i wiele innych jeszcze — przygody Burki.

Matka moja i Burka, to były dwie wielkie przyjaciółki. Dopiero teraz potrafię się aż tak bardzo zdumiewać, kiedy sobie przypomnę, jak dalece matka rozumiała tę niepozorną kotkę i jak bardzo kotka była do matki przywiązana.

Dość często matka moja jeździła do Krakowa. Jechała prawie zawsze po południu i wracała wieczorem. Czasem szedłem po nią na stację, ale częściej nie. Ale Burka szła zawsze naprzeciw. Kiedy przychodził pociąg, były to godziny w jesieni i na wiosnę zupełnie czarne, w lecie szare. Burka koło ósmej znikała z domu i to nawet wtedy, kiedy miała dopieroco małe. Wysiadywała na murze kościoła i czekała. A kiedy matka nadchodziła, kotka skakała z muru z zadowolonem mruczeniem, łasiła się i szła obok lub naprzód krążąc, jak pies. Jakże dobrze je obie pamiętam, kiedy przymknę powieki! Ta szczupła postać starszej pani o zupełnie siwych włosach i ten bury kot, taki dziwny...

Przyszły pewne święta wielkanocne tak ciepłe, jak już chyba od tego czasu nie było. Kwiaty rosły w ogrodzie. Dziewczęta w białych sukienkach chodziły i pachniały też, jak kwiaty.

Zebraliśmy się koło stołu, zastawionego dość solidnie, choć to były już czasy wielkiej biedy, kiedy zboże chowało się w zamurowanym piecu chlebowym. Pokrajane jajka czekały na talerzu. Składaliśmy sobie życzenia i pochłaniali jajka. A potem usiedliśmy przy stole i kopiaste talerze szynki znikały bardzo szybko. Takie były pierwsze Święta Wielkiej Nocy — czasu wielkiej wojny.

W pewnej chwili coś śmignęło na stół. I już obok talerza matki leżał malutki, bezradny kłębuszek. Ze stołu Burka skoczyła matce na kolana i zaczęła się łasić.

— Popatrzcie, Burka przyniosła dziecko, żeby się niem pochwalić — rzekła matka.

Mówiło się w domu, że się Burka wkrótce okoci. Zamknięto dokładnie szafy i penetrowano łóżka — Burka lubiła sprawiać niespodzianki a wszystko poto, aby być najbliżej matki. Teraz, w rozgardjaszu przedświątecznym znikła i powróciła właśnie w chwili składania życzeń. Ostatecznie należała do rodziny.

Kocie było zupełnie ślepe — mały kłębuszek, jęczący cicho. Rzuciliśmy się szukać reszty kociej rodziny.

— Burka, pokaż, gdzie masz dzieci?

Zaprowadziła nas na strych. Na starym fotelu było jeszcze jedno kociątko, które znieśliśmy nadół.

— Tylko dwoje. Burka jest już bardzo stara — zauważyła niezwykłym tonem matka.

Dziś sądzę, że Burka nie przyniosła swego dziecka, jedynie aby się pochwalić. Jej odruch miał być może głębsze znaczenie. — Przecież to było ostatnie jej dziecko. Przyniosła je matce. Wiem, co o tem sądzić, ale nie powiem, bobyście się ze mnie śmiali. Przecież sama Burka wkrótce umarła.

Jeśli chłopięce myśli mają jakąkolwiek wartość dla osuszonego serca człowieka, który lada rok zacznie się pochylać od lat męskich ku szarej przedstarości — wierzę, że spoczywasz w Bałtyku, Burko, która byłaś zwierzęciem polskiem. Pozdrawiam cię dziś, jedząc mocno opieprzone jajko. Równie często jak ja ocierałaś się o moją matkę, równie często kładłaś głowę na jej kolanach.

Pozdrawiam cię, mimo, iż byłaś tylko zwierzęcem.

ZA KULISAMI ZJAWISK NATURY

Od długich tysięcy i dziesiątek tysięcy lat, mieszkaniec globu ziemskiego obserwował otaczającą go przyrodę i zastanawiał się nad zachodzącymi wokoło niego zjawiskami. Z natury rzeczy początkowo zwracał uwagę przedewszystkiem na te przedmioty i zjawiska które związane były z jego życiem i mogły mu przynieść pożytek, lub groziły jakiemś niebezpieczeństwem. Jakżeż wiele rzeczy dzisiaj dla nas tak prostych, były zupełnie niezrozumiałemi dla naszych przodków, którzy w trudzie doświadczeń codziennego życia i drogą tradycji przekazywanej z ojca na syna, powoli zdobywali coraz więcej wiadomości o przyrodzie!

Z biegiem czasu interesować człowieka zaczęło coraz więcej zagadnień, których nie chciał pozostawić bez zrozumiałych dla siebie wytłumaczeń.

Wiele jednak zjawisk, które człowiek obserwował od tysięcy lat, mogło stać się zrozumiałe dopiero dzięki rozwojowi fizyki, chemji i innych działów nauk przyrodniczych.

Do takich zjawisk, które znalazły rozwiązanie dopiero w niedawnych czasach, należy zagadnienie barwy nieba.

Codziennie patrzymy na błękit sklepienia niebieskiego. Chociaż już dawniej wiedziano, że błękit nie jest zabarwieniem atmosfery, ponieważ powietrze, będące mieszaniną gazów bezbarwnych, jest również bezbarwne, zaledwie jednak przed pięćdziesięciu kilku laty świat otrzymał właściwe wyjaśnienia barwy nieba. Dopiero bowiem w r. 1871 ukazała się praca angielskiego fizyka J. W. Strutta, późniejszego lorda Rayłeigha na ten temat.

Jak wiadomo, nasza kula ziemska jest otoczona powłoką gazową atmosfery. Promienie światła podążające z dalekiego słońca, zanim dotrą na ziemię, muszą przedrzeć się przez tę gazową atmosferę. Atmosfera ziemi nie jest jednak zupełnie przeźroczysta jak to mogłoby się wydawać na podstawie znajomości poszczególnych jej składników, które są gazami przeźroczystemi. Zwłaszcza w dolnych warstwach atmosfery unoszą się zmienne ilości kurzu, pyłu, kryształków lodu i innych stałych okruszyn, wreszcie mgła i skupienia chmur złożone z maleńkich kropelek wody. Przez tę atmosferę biegną nietylko bezpośrednie promienie słoneczne, lecz także odbite od ziemi i od chmur.

Dawniej sądzono, że przyczyna błękitu nieba leży w zwykłem pochłanianiu promieniowania przez składniki powietrza t. j. przez tlen, azot, ozon i parę wodną. Gdyby jednak tak było barwa nieba przy wschodzącem lub zachodzącem słońcu byłaby stale błękitna, tymczasem doskonale znamy zmiany barw od „różanopalcej" jutrzenki, opisywanej już przez Homera, do płonących czerwienią zachodów słońca.

Błękit nieba, jak to wykazał fizyk angielski, jest wynikiem rozpraszania światła przy przejściu pomiędzy cząsteczkami atmosfery. Natężenie rozproszonego światła jest zależne od długości fali światła; jak się okazało, jest ono odwrotnie proporcjonalne do czwartej potęgi długości fali światła.

Barwa błękitu nieba nie jest jednolita. W zenicie jest ona ciemniejsza, nad horyzontem jaśnieje wskutek różnicy ilości powietrza i pary wodnej, biorących udział w rozpraszaniu światła. Na tem właśnie rozpraszaniu światła polegają zjawiska świetlne pojawiające się z początkiem dnia w części wschodniej nieba i z końcem dnia w części zachodniej.

Szczególnie intensywnie czerwone barwy zórz występują w atmosferze zawierającej znaczne ilości pyłu. Zdarza się to z reguły po wielkich wybuchach wulkanicznych podczas których na znaczne wysokości zostają wyrzucone wielkie ilości pyłu wulkanicznego. Po sławnym wybuchu wulkanu Krakatoa w r. 1883, znaczne ilości pyłu wulkanicznego wędrowały przez długie miesiące na znacznych wysokościach atmosfery, stając się w wielu miejscach kuli ziemskiej przyczyną wspaniałych krwawych zjawisk zórz. Podobne zjawiska optyczne występowały i w r. 1902 po wielkim wybuchu wulkanicznym na Martynice, kiedy stolica tej wyspy St. Pierre została zniszczona, a 30.000 mieszkańców znalazło śmierć od gorących gazów wulkanu Mt. Pelé.



„Halo" widziane w r. 1882 na Pic du Midi.



Trąba morska jest jednem z najciekawszych, ale też najgroźniejszych zjawisk na morzu.



Nieraz stała się fata morgana powodem śmierci uczestników karawany, którzy dążyli do nieistniejącego a widocznego dzięki temu zjawisku, miasta.

Do najpiękniejszych zjawisk obserwowanych na niebie należy tęcza, o której wzmianki można znaleźć już w Biblji. Pierwsze wytłumaczenie tego barwnego zjawiska dał znakomity filozof Kartezjusz, a ściślejsza teorja została podana przed 100 laty przez angielskiego fizyka F. Airy'ego. Wiemy dzisiaj, że zjawisko tęczy polega na rozłożeniu białego światła na jego składniki; barwy jednak tęczy są właściwie mieszaninami barw prostych, zależnemi od wielkości kropel deszczowych, stąd też rozmaita jest dobroć poszczególnych barwnych pasów a niekiedy niektórych barw brak zupełnie.

Przez załamanie i rozszczepienie światła w kryształkach lodu, znajdujących się w wyższych warstwach atmosfery, powstają nadzwyczaj efektowne, chociaż stosunkowo rzadko obserwowane zjawiska „halo". Koło słońca ukazują się wtedy jakgdyby delikatne koła świetlne, niekiedy również pojawiają się i słońca poboczne w postaci świetlnych słupów lub krzyżów. Niekiedy w mroźne pogodne noce można zobaczyć pasy światła wystrzelające w niebo, co pozostaje w ścisłym związku z opadającymi kryształami lodu w postaci poziomych płaskich blaszek.

W obszarach dalekiej północy pojawiają się wspaniałe zorze polarne. Zjawisko to nie zostało jeszcze całkowicie wyjaśnione, przypuszczalnie jest ono związane ze specjalnym rodzajem promieniowania wysyłanem przez słońce; jest ono analogiczne do promieni katodowych i składa się z drobnych naelektryzowanych cząsteczek.

Na załamaniu się światła polega zjawisko fata morgany. Występuje ono szczególnie w olbrzymich obszarach pustynnych, gdzie załamanie się światła w silniej rozgrzanych warstwach powietrza ponad ziemią, nie odbywa się normalnie. Wielokrotnie n. p. zjawisko fata morgany zostało zauważone w pustyni Sahary. W takiej właśnie nagrzanej warstwie powietrza nieraz światło ulega odbiciu dając odwrócone obrazy przedmiotów widocznych na horyzoncie.

Miraże takie zdarzają się niekiedy i na obszarze pustyni Błędowskiej na północ od Olkusza, zwanej nieraz polską Saharą. Obserwowano tu smugi tafli wodnych, w których odbijały się drzewa i wydmy. Niekiedy złudzenie potęguje jeszcze pojawienie się na „jeziorze" wysepek, które nie są niczem innem, jak niewielkiemi wydmami piaszczystemi, pokrytemi niską roślinnością.

Z atmosferą związane są również zjawiska wiatrów i burz. Nieraz przybierają one postać groźnego i niszczycielskiego zjawiska. Do takich należą cyklony, a przedewszystkiem tornados czyli trąby powietrzne. Obok trąb powietrznych, będących wirami powietrznymi w kształcie lejów, sięgających od ziemi do dolnej granicy chmur, niemniej groźne są trąby wodne. Tworzą się one w postaci wodnych lejów zwisających z chmury aż do powierzchni morza; podobny lej wodny podnosi się również z morza w górę wskutek działania tworzącej się próżni. Wreszcie oba leje, obracające się szybkim ruchem wirowym i wydłużające coraz bardziej, łączą się ze sobą tworząc wirujący słup wody, który posuwa się ze zmienną szybkością. Średnica trąb wodnych wynosi od pół metra do ponad 50 metrów, a wysokość od 10 metrów dochodzi nieraz niemal do 5000 metrów. Szybkość poruszania się takiej trąby wodnej nieraz dochodzi do 20 metrów na sekundę i wtedy stanowi ona poważne niebezpieczeństwo dla napotkanych łodzi i statków. Przesuwająca się trąba wodna może niekiedy wedrzeć się i na ląd, powodując tam zalewy i spustoszenia.

Gdy dawniej każde z takich niezwykłych zjawisk wiązano z pojęciem sił nadprzyrodzonych i dobrych lub groźnych bóstw, dzisiaj stają się one dla nas zrozumiałe jako oparte na prawach panujących w Przyrodzie.

Dr. M.

Niejeden z nas marzył przez lata całe o posiadaniu własnego samochodu. Raz była to wspaniała limuzyna, gdy zdarzyło się, że zamiast w niej wygodnie zajeżdżać w deszczowy wieczór przed teatr lub salę koncertową musieliśmy tam zdążać „na piechotkę", lub w jakiejś lichej konnej „dryndulі" — drugim razem marzenie nasze przybierało kształt rasowej maszyny sportowej, która z wyciem uruchomionego kompresora lekko pozostawiała w tyle nasz autobus — innym znów razem był to poprostu „samochód", bez określonych kształtów maszyna mogąca w każdej chwili zaspokoić nasze pragnienie wyswobodzenia się z dusznych ulic miast, uczestniczenia w beztroskim wyścigu z wiatrem wśród pól i łąk ukwieconych, pokonania przestrzeni, która dzieli nas od ludzi i zdarzeń wówczas, gdy zdani jesteśmy na konieczność dostosowania się do określonych terminów i szybkości innych środków lokomocji.

Czasami marzenie nasze może się ziścić. I wtedy dopiero stajemy bezradni wobec problemu: *Jaki sobie kupić samochód?*



Samochodem w krainę marzeń...

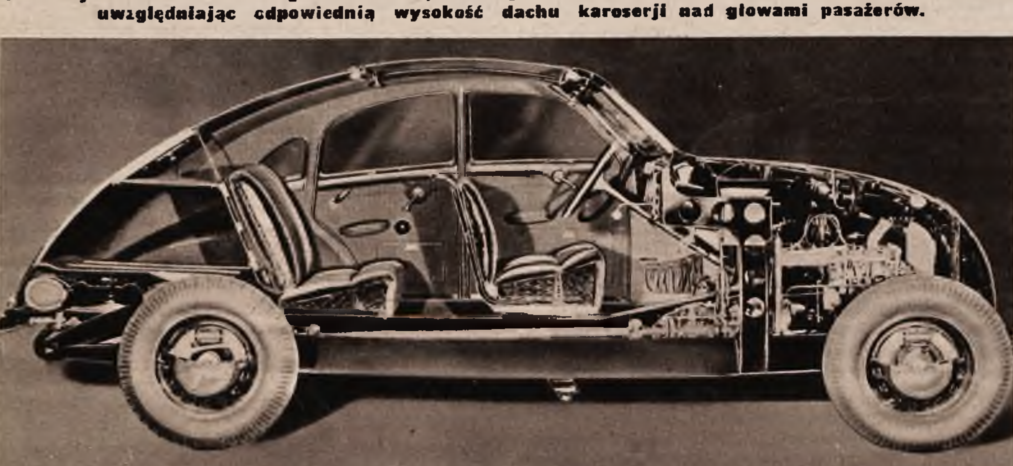
Poniżej: Podczas, gdy niemal wszystkie firmy automobilowe nadają swym maszynom kosztem wygody pasażerów coraz bardziej opływowe linje, prawdziwy „arystokrata" wśród samochodów, Rolls Royce (na lewo) pozostaje wierny zasadzie: „piękne z pożytecznem".







Przekrój modelu nowoczesnego samochodu, w którym zrezygnowano z idealnej linji opływowej, uwzględniając odpowiednią wysokość dachu karoserji nad głowami pasażerów.



A tu widzimy model dzisiejszego „cygara", w którym człowiek czuje się dosłownie, jak w klatce (patrz odległość tylnego siedzenia od dachu karoserji).

Rozsądek nakazuje nam: *Maszyna ma być ekonomiczna!*

Odzywa się próżność: *Stać cię na luksusowy samochód!*

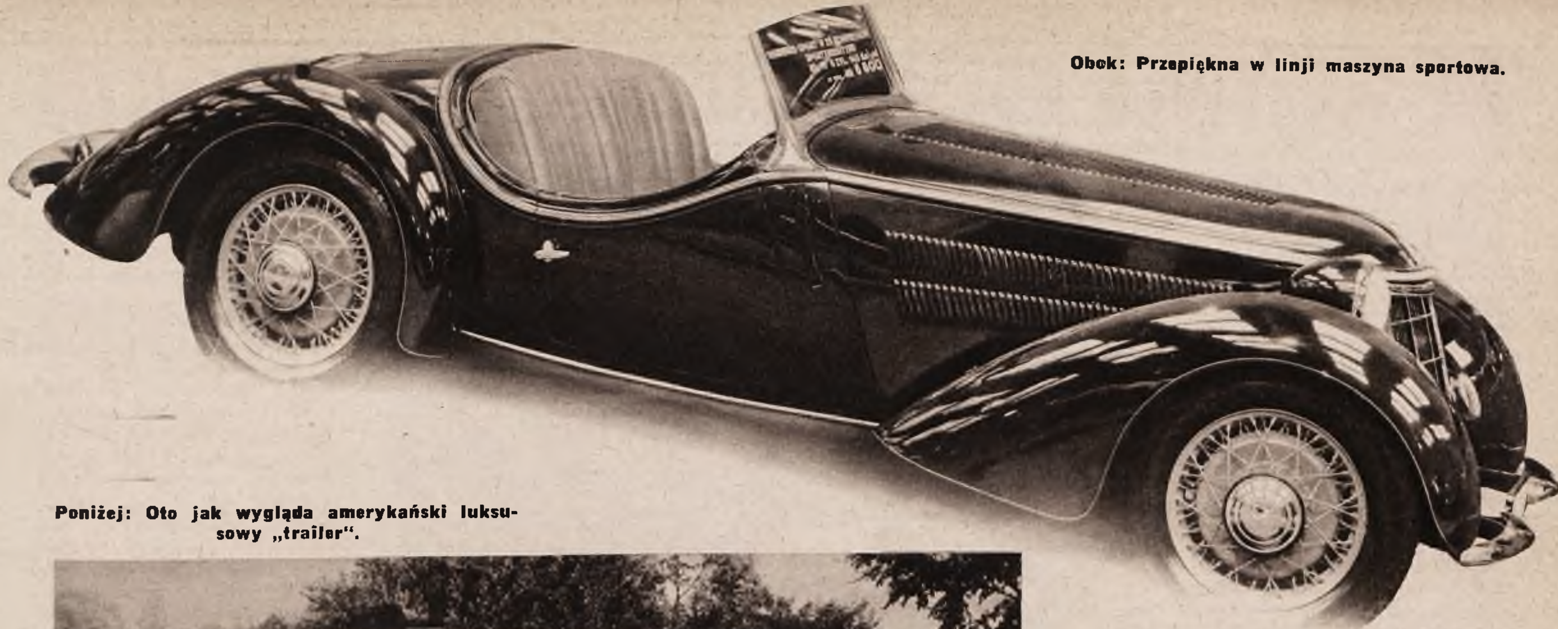
Bierzemy ołówek do ręki — obliczamy pierwszą, drugą, wreszcie trzecią możliwość i tak jak dawniej deliberowaliśmy nad wyborem futra, radja, mebli, bo chodziło o t. zw. „większy wydatek", tak i teraz stajemy na rozdrożu już przy samej cenie samochodu. Ale to dopiero początek.

Kupiwszy droższe meble, wiedzieliśmy, że dzięki temu będziemy je dłużej posiadać. To samo odnosi się do każdej rzeczy użytkowej, a więc i do samochodu. Cóż, kiedy maszyna to nie fotel. Nie chcemy w niej tylko siedzieć... na miejscu. Pragniemy przy jej pomocy poruszać się i to bynajmniej nie powoli.

Dochodzi więc do pierwszego problem drugi: Jak się przedstawia zużycie paliwa, oliwy, opon — jaki będzie koszt garażu dla małego, a jaki dla dużego samochodu?

Przezorność nakazuje nam liczyć się z każdą ewentualnością. Posiadając majątek i z nim związane odpowiednie dochody, nie jesteśmy w możności dysponować niemi z całą swobodą wówczas, gdy wybieramy się w dłuższą podróż zagranicę. Wiemy też dobrze, że duża maszyna „opłaca się" tylko na dużych dystansach. Chodzi nam bowiem wtedy z jednej strony o wygodę, z drugiej zaś o pewne i szybkie pokonanie dalekich przestrzeni, oraz wielkich nieraz różnic terenowych. Kto więc może sobie zapewnić utrzymanie takiej maszyny w podróży zagranicę, tego napewno nie odstraszy przy kupnie cena dużego wozu. Ale u nas jest ludzi takich stosunkowo niewielu i dlatego rynek cały nastawiony został przedewszystkiem na zbyt małych maszyn.

Reflektantów na małe samochody przybywa z każdym rokiem. Producenci silą się nad zaspokojeniem rozlicznych wymagań nabywców tych technicznych cacek. Niezawsze



Obok: Przepiękna w linji maszyna sportowa.

Poniżej: Oto jak wygląda amerykański luksusowy „trailer".





Obok: Na Zachodzie każda, średnio zamożna rodzina wybiera się na week-end z „trailerem".

jednak starania ich idą po linji dobrze rozumianego komfortu. Odnosi się to przedewszystkiem do zasadniczych problemów w budowie karoseryj małych wozów. Tu zastosowane, t. zw. linje opływowe nie mogą pozostać bez wpływu na rozmiary przestrzeni wnętrza i jego zabudowanie. Obok zamieszczone ilustracje dokładnie to uzmysławiają. Na jednej z nich widzimy przekrój małej limuzyny, w budowie której mało zwracano uwagi na opływowe linje, natomiast miano na oku wygodę pasażerów, umieszczając nad ich głowami dach tak wysoko, by nie stanowił przeszkody dla dzisiejszych kapeluszy pań i by o niego nie rozbijano sobie właśnie głów przy lada nierówności terenu. Na drugiej ilustracji widzimy inną małą limuzynę, ale już „opływową". Tu konstruktorowi chodziło przedewszystkiem o „nowoczesny wygląd" maszyny, mniej o komfort i dlatego przestrzeń, jaka dzieli pasażerów od dachu, szczególnie tych w tyle siedzących, jest minimalna. Jak to wpływa na samopoczucie jadących w takiej „klatce", zrozumie tylko ten, kto choć raz wcisnął się do podobnego samochodu i dał się torturować na przestrzeni bodaj kilku kilometrów nieasfaltowanej drogi.

Że problem „nowoczesności" wyglądu samochodu nie jest identyczny z koniecznością stosowania linij opływowych w ich najskrajniejszym wyrazie, widzimy to najlepiej na przykładzie fabrykatów „Rolls Royce'a od lat uchodzących za szczyt doskonałości w budowie samochodów. Najdroższa maszyna świata bynajmniej nie posiada wyglądu „wyścigowego", o który tak się wszyscy dobijają, choć rozmiarami swymi daje konstruktorowi wszelkie możliwości zastosowania takiej, czy innej formy karoserji (patrz ilustr.).



Reasumując to cośmy wyżej powiedzieli, decydującą przy kupnie małych limuzyn (bo o nie nam przedewszystkiem chodzi), będzie zawsze kwestja, jak się w nich przedstawia problem wygody pasażerów. Nabywając taką małą maszynę, nie myślimy tylko o lokomocji w mieście, na małych odcinkach przy stosunkowo idealnie równych nawierzchniach asfaltowych. Musimy się liczyć w równej mierze z wyjazdem i to dalekim za miasto, po drogach wyboistych, by dotrzeć tam, dokąd ciągnie nas pragnienie zaznania przyjemnych wrażeń, ale nieraz i twardy obowiązek.

Z samochodem wiąże się nierozerwalnie możność przenoszenia się z miejsca na miejsce niezależnie od z góry ustalonych rozkładów jazdy i wytyczonych dla innych, nie posiadających samochodów, tras podróży. — Ta swoboda została już dawno oceniona przez cały Zachód, gdzie samochód należy do masowych zjawisk codziennych. Co więcej — wszędzie tam użyto samochodu do transportu całego „home'u" z miasta na wieś, na łono natury, budując t. zw. trailery, czyli domki week-end'owe na kołach. Zależnie od zamożności posiadacza, trailer raz przedstawia się okazale, mieszcząc w sobie kilka ubikacyj mieszkalnych, wszechstronnie wyposażonych; w innych wypadku jest to tylko mały wagonik, służący do przyzwoitego przenocowania tym, którzy dosłownie dzień cały poświęcają sportom na wolnem powietrzu. Bez samochodu zażywanie tych rozkoszy pozostałoby na zawsze w krainie naszych marzeń.

Gdy pomyślimy o podróży w brudnym, dusznym wagonie kolejowym, o konieczności niewolniczego trzymania się kierunku toru, po którym się on posuwa, gdy uzmysłowimy sobie, ile razy w czasie takiej podróży przychodzi nam ochota wysiąść i zatrzymać się dłużej tam, gdzie jest naprawdę cudownie, ale gdzie, jak na złość, niema przystanku, wówczas zrozumiemy, że bez tej cudownej maszyny, której na imię „samochód", trudnoby się nam już było dziś obejść — nam, ludziom XX wieku. **J. L.**



Niektóre fabryki stosują drzwi wysuwane (nie otwierane), umożliwiające wygodne wsiadanie do samochodu.

NA SZCZYTACH POLSKIEJ LITERATURY PODRÓŻNICZEJ

Od dwunastu lat nieśmiertelną literaturą dzieciństwa i młodości jest „Robinson Kruzoe" Daniela Defoe. „Nic w życiu nam nie wróci, jak słusznie stwierdza prof. R. Dyboski — świeżości i siły wrażeń tej pierwszej, dziecinej lektury; a rzadko, niestety się zdarza, by ktoś w późniejszem życiu miał czas i ochotę powrócić do znanej z dzieciństwa opowieści. Kto się na to zdobędzie, odkrywa w niej nowe i głębsze walory myśli moralnej i spocznej..." Książka o Robinsonie i młodociane robinsonady — zrodziły niejednego pisarza-podróżnika, żeby tylko wspomnieć Conrada-Korzeniowskiego.

Silnie w pracy o Sieroszewskim podkreśla Czachowski, że żądza przygód na dalekich szlakach była od wieków ulubionym tematem poetyckich opisów, w których jednak egzotyzm jest zgoła fantastyczny. Dość wymienić „Odyseję", popularne w średniowieczu baśni wschodnie, czy opowieści o różnych „peregrynacjach". Nic się prawie nie zmienia w tym względzie po odkryciu Ameryki. „Widać z tego — pisze Czachowski — zwłaszcza gdy porównamy wpływ doświadczeń ostatniej wojny na powojenny rozkwit literatury egzotyczno-podróżniczej, że nie wystarcza sam fakt zbliżenia człowieka ze światem, bo dopiero pogląd człowieka na świat, chociażby pogląd nie uświadomiony, stwarza właściwe perspektywy widzenia. Perspektywy te, urabiane przez myśl ludzką, rozwijają się w ramach dziejowych kultury społecznej".

Ze zrozumiałych powodów polska literatura podróżnicza powstać mogła, narastać i rozwijać się dopiero w latach ostatnich. — W dobie niewoli, gdy wielu skazanych było na podróże przymusowe, rozwinęła się głównie i bujnie literatura syberyjska, z najznakomitszym jej przedstawicielem W. Sieroszewskim, którego uważa się też za czołowego marynistę, a którego przeżycia znalazły wyraz beletrystyczny. Dzisiejszą formę reportażu uprawiali nieliczni pisarze, z których Sienkiewicz był najznakomitszym autorem „listów z podróży" (afrykańskiej i amerykańskiej), a obserwacje i wrażenia pozwoliły mu na takie arcydzieło jak „W pustyni i w puszczy".

Najbliższą tej powieści z dzisiejszej literatury dla młodzieży jest książka M. Lisiewicza „Trop nad jezorem", która równocześnie zaliczana być może do literatury krajoznawczo-podróżniczej o Polsce, coraz poważniejszej i piękniejszej. Ten rodzaj piśmiennictwa wzbogacają wytworne Wegnerowskie tomy pt. „Cuda Polski", w opracowaniu J. Kilarskiego, Patkowskiego, Ossendowskiego, Wasylewskiego, Smoleńskiego, Łopalewskiego, R. Malczewskiego, Morcinka i in., dalej pozycje tak gatunkowo różne, a wybitne, jak „Na połoninie" S. Vincenza, „Na gdyńskim szlaku" S. Zadrożnego, a zwłaszcza Melchjora Wańkowicza „Na tropach Smętka" i „Sztafeta". Temu działowi najbliższe są reportaże społeczne p. t. „Podróż po Polsce" K. Pruszyńskiego, „W widłach Wisły i Sanu" J. Ostrowskiego czy „Mój Żyradów" P. Hulki-Laskowskiego.

W niepospolitej książce Wańkowicza „Na tropach Smętka" — jak zauważył prof. K. Górski — „historja, folklor, polityka, relacje o spotkaniach z ludźmi, opisy przyrody, różne przypadki w kajakowej włóczędze po jeziorach, rzeczy widziane i rzeczy przemyślane złączone tu są nicią tak subtelną, a



Facsimile mapy świata z „Kroniki Świata" Marcina Bielskiego wyd. w r. 1550 (ze zbiorów F-my „Nauka i Sztuka" w Krakowie).

jednocześnie podane tak prosto i naturalnie, jakby w tej wielkiej sztuce komponowania całości z pierwiastków bardzo różnych nie było żadnej sztuki, tylko naturalny bieg myśli gawędziarza".

Dalekie podróże i wyprawy, turystyczne czy badawcze, coraz częściej są utrwalane w formie pamiętnikarsko-reportażowej, notującej uważnie i elementy techniczne pokonywania przestrzeni. W ten sposób powstały książki, które już dziś możnaby ująć w pewne cykle gatunkowe. O triumfach polskich skrzydeł na dalekiemi lądami i oceanami piszą Orliński, Czarkowski-Golejewski, Karpiński i Skarżyński, o lotach balonowych Z. Burzyński. Z przeżyć w podróżach dalekomorskich spowiadają się m. in. A. Bohomolec, T. Meissner, Z. Dreszer, a zwłaszcza niestrudzony gen. Zaruski i F. Kulleschitz. Wyprawy naukowe, badawcze utrwalone zostają literacko w relacjach K. Narkiewicza-Jodki, J. A.



Ilustracja do pierwszego wydania „Robinsona Crusoe" z roku 1789 (ze zbiorów British Muzaum).

Szczepańskiego, S. Siedleckiego czy J. E. Centkiewicza, którego „Biała Foka" jest też interesującem osiągnięciem artystycznem.

Nazwiska podróżników możnaby mnożyć, notując przedewszystkiem pozycje J. Giżyckiego, B. Pawłowicza, K. Wrzosa, R. Fajansa, i in. Najruchliwszymi podróżnikami ,najwszechstronniej i najobficiej dzielącymi się sprawozdaniami ze swych podróży są: A. F. Ossendowski, „odznaczający się wybitnym talentem literackim, zdolnością stapiania wrażeń autentycznych i rozległych wiadomości krajoznawczych z pomysłową wyobraźnią w tworzeniu zajmujących opowieści" (Czachowskiego) oraz M. B. Lepecki.

Oczywiście, w współczesnej naszej literaturze znajdziemy doskonałe książki podróżnicze pisarzy, którzy je wydali jakby na marginesie swej głównej twórczości. Dla przykładu nazwiska: Ferdynanda Goetla, Antoniego Słonimskiego, Marji Kuncewiczowej.

Klasycznymi typami naszych podróżników, a równocześnie pisarzami, którzy w tej dziedzinie znaleźli się szybko na szczytach polskiej literatury podróżniczej, są: Aleksander Janta Połczyński, Ksawery Pruszyński i Arkady Fiedler. Każdy z nich to odrębna indywidualność.

Janta Połczyński, początkowo liryk i nowelista udoskonalił formę reportażu dziennikarskiego i stworzył własny rodzaj, w którym na tle obserwacyj i opisów przygód przemówić mogły refleksje autora, odsłaniając jego humanistyczny pogląd na świat. Tomy jego wrażeń z podróży „W głąb Z. S. R. R.", „Ziemia jest okrągła", „Odkrycie Ameryki" i „Stolica srebrnej magji", urzekają czytelnika bogactwem treści, wielorakością naświetleń i tonów, prostotą i plastyką opowiadania. W książkach Janty-Połczyńskiego często dochodzi do głosu liryk i nowelista.

Ksawery Pruszyński — to, mimo młodego wieku, jeden z czołowych polskich publicystów politycznych, oraz bezwarunkowo pierwszy wśród podróżników-polityków. Jego reportaże, choć punktem wyjścia związane z aktualnemi wydarzeniami, nie są „jętkami jednodniówkami", ale ważnym dokumentem o trwałej aktualności, gdyż autor każde zjawisko umie osadzić na szerokiem tle historycznem, socjologicznem, kulturalnem czy obyczajowem, związać przyczynowo z przeszłością i wysnuć śmiałe, nieraz doniosłe wnioski na przyszłość. Pruszyński nie rejestruje zjawisk, nie ślizga się po powierzchni. ale z pasją dociera w głąb, równocześnie wypracowując sobie odrębny styl pisarski, którego szczególnemi zaletami są — potoczystość narracji, sugestywny temperament i kapitalna często plastyka opisów oraz, co bardzo ważne, umiejętność konstruowania całości. Przekonać o tem może szczególnie tom reportaży „W czerwonej Hiszpanji".

Arkady Fiedler, o którym tu kilkarotnie pisało się, wniósł do naszej literatury dorobek artystyczny tej wagi i tego rodzaju. że zaliczany winien być do t. zw. literatury pięknej. Obserwacje, przeżycia, refleksje kształtuje autor „Ryb śpiewających w Ukajali", „Kanady pachnącej żywicą, czy „Madagaskaru" w cykle samodzielnych obrazków literackich, nowel, które treściowo i formalnie niejednokrotnie uznane być mogą za swego rodzaju arcydzieła, przewyższające często znacznie okrzyczane zagraniczne osiągnięcia.

(swb)



Z „asem" naokoło świata



Będąc w Afryce warto zapolować na lwy, które jak wiadomo, są najłagodniejszemi zwierzętami i nigdy się nie rzucają na człowieka, chyba, że są bardzo zdenerwowane: jedyną ich wadą jest to, że je wszystko denerwuje. Ale niech nas to nie zraża: możemy pozatem obejrzeć piramidy egipskie, kopalnie brylantów w Transwalu, katarakty Nilu, dżunglę, która jest lepiej zreżyserowana jak w amerykańskich filmach i wiele innych rzeczy.



Wszystkie rysunki: Charlie.

Podróże możnaby porównać do książki z obrazkami: każdy ją może przejrzeć, ale nie każdy zapamięta co tam widział, i nie każdego umysł czy dusza umiały przyswoić sobie najciekawsze obrazy tej książki. Podróże kształcą — jak to mówią, — ale tylko pod warunkiem, że się umie podróżować, inaczej najbardziej wykształconymi ludźmi na świecie byliby konduktorzy Wagons Lits, co przecież, o ile wiem, nie jest prawda. Podróże możnaby zgrubsza podzielić na podróże naukowe i podróże poślubne, (z których też płynie czasem pewna nauka na przyszłość), wkońcu podróże odkrywcze i wręcz przeciwnie, t. j. takie, podczas których bynajmniej nie chcemy, aby nas odkryto (np. znajomy z Krakowa czy Warszawy podczas gdy pojechaliśmy nad Lazurowy Brzeg z przyjaciółką, albo znów kiedy uciekamy przed nowym reżimem, który przez noc zapanował w pewnem państwie). Ale to są wszystko detale: każdy podróżuje inaczej, choć każdy mieszka w tym samym hotelu, ogląda to samo, Wezuwjusz, gondole, Luwr, Wersal, opactwo westminsterskie czy brukselskiego Manneken Piss. W każdym razie dajemy naszym Czytelnikom pewne wskazówki, które mogą im w podróży pomóc, ale których nie muszą koniecznie brać pod uwagę, jeśli im się nie będą podobały. Najważniejsze jest to, abyśmy podróżowali indywidualnie.





Grecja czyli Hellada (zależnie od tego należy jej szukać w encyklopedji pod literą G lub pod literą H), jest t. zw. kolebką cywilizacji i kultury europejskiej. Ostatnio stosunki między ową macierzą a dorosłą już Europą znacznie się rozluźniły. Matka nie chce przyznawać się do swych dzieci, wszak waśnie rodzinne są na porządku dziennym. Zabytki greckie, z powodu nieuwagi władz i braku funduszów na konserwację, znajdują się obecnie w gruzach i ruinie; utyskiwał na to pewien Amerykanin, twierdząc, że w U. S. A. dawnoby z tem zrobili porządek i odbudowali je. Mimo to warto zobaczyć: 1. Partenon, czarujący nas wspaniałą linją swej architektury. 2. Żołnierzy greckich, noszących spódniczki a zwanych „ewzonami" i tańczących w wolnych chwilach sielskie ludowe tańce, wkońcu 3. nie należy zapominać o słynnych oliwkach i rodzynkach. Warto zaznaczyć, że o ile rodzynki korynckie są naprawdę dobre, o tyle córy korynckie są grubo przereklamowane.

O ile uda nam się być świadkiem jednej z licznych rewolucyj w kraju Homera, będziemy mieli widowisko godne zobaczenia, nie możemy jednak przewidzieć kiedy to nastąpi. **Atlantic-Photo, Berlin.**

GRECJA

NOWY JORK

Gdy w Afryce musieliśmy się przedzierać przez dżunglę natury tu w Ameryce, oznaczanej dla zaoszczędzenia czasu trzema literami U. S. A., walczymy z dżunglą ludzką. Amerykanie chodzą po ulicach tabunami, a ich samochody włóczą się długimi, ruchomymi wężami. Jest to kraj wogóle bardzo dziwny: są tam ludzie, którzy całe życie spędzają jedynie na wchodzeniu i wychodzeniu do i ze swego mieszkania: mieszkają bowiem koniecznie na sto dwunastem piętrze i zanim dojdą do siebie, już należy wyruszać do biura. Ludzie ci często nabywają takiej giętkości mięśni, że stają się słynnymi szybkobiegaczami, no i wtedy robią oczywiście karjerę życiową Druga kategorja Amerykanów wogóle odzwyczaja się od chodzenia, gdyż całe życie przesiaduje albo w samochodzie, samolocie, albo przy coctail-party lub też gra na giełdzie. Są to słynni miljarderzy, bez których żaden film amerykański nie mógłby dojść do happy endu, bo biedna bohaterka, grana przez Myrnę Olivię de Havilland nie miałaby za kogo wyjść bogato zamąż.

Chcąc w krótkim czasie poznać Amerykę od podszewki, radzimy naszym Czytelnikom zwrócić przedewszystkiem uwagę na następujące punkty programu ich pobytu w kraju yankesów. 1. Drapacze chmur: są one bardzo ciekawe oglądane z dołu, gdy przeciwnie patrzymy z góry na miasto, możemy doznać zawrotu głowy. 2. Hollywood: miasto złudzeń. Warto je zobaczyć, aby uświadomić sobie, jak tanim sposobem można obudzić w t. zw. bliźnim złudzenie, np. u wierzyciela, że mu się zapłaciło rachunek, u szefa, że jest się wartościowym i pilnym pracownikiem, u gości, których się przyjęło szklanką herbaty i jednem ciastkiem, że byli na wytwornej kolacji itd. 3. Cow-boye: mają oni zwyczaj noszenia kapeluszy o szerokich rondach i takichże spodni. Nie należy ich mylić z gangsterami, którzy nie ubieraaj się tak oryginalnie gdyż nie lubią, aby ich ktoś zauważył. 4. Godną obejrzenia jest w Nowym Jorku statua Wolności; da ona Europejczykowi wyobrażenie, jak wygląda wolność, która w Starym świecie zaczyna należeć do przeżytków.

Wieleby można jeszcze rzeczy obejrzeć w Ameryce, ale trzeba pozostawić każdemu możność indywidualnego wyboru. Kawalerom poleca się nadto zainteresowanie się młodemi Amerykankami, po poprzedniem sprawdzeniu, jakie konto bankowe posiadają ich ojcowie, nie będziemy jednak tego bliżej omawiać, pozostawiając to osobistej inicjatywie zainteresowanych, temwięcej, żeby nas mogły potem spotkać wyrzuty, że mieszamy się do cudzych spraw.

Wide-World Photos, Londyn.





POLSKA

Polska — tak dobrze i tak mało nam równocześnie znana, jest krajem, w którym znajdziemy jeszcze wiele ciekawych rzeczy. Bo Polska jest krajem dziwnym: jest w niej dużo z przeszłości, ale jest też rytm dzisiejszy, jest postępowa i zacofana, jest większa niż się ją rysuje na karcie geograficznej, bo zawiera w sobie pamiątki z czasów, kiedy była od morza do morza, a na jej gościnnych ziemiach spotkamy całą gamę dawnej polskiej kultury. Gdy zestawimy różne jej dzielnice i miasta, uzyskujemy obraz wspaniały, różnorodny: wszystkie kolory i wzory, wszystkie uroki i wszystkie uśmiechy. Tu starożytny Kraków, lecz tuż obok niemal C. O. P., nowa polska kuźnia wielkości czynu i energii, a dalej Gdynia; tu stara Warszawa, z patyną z czasów króla Stasia, a gdzieindziej znów miasto, dymiące kominami — Łódź, Poznań. Znajdziemy też rezerwaty natury w Tatrach, na Polesiu, na Wileńszczyźnie, znajdziemy też rezerwaty ideału i poezji w duszy Polaków.

Fot. Edward Hartwig







RANGUN

Azja nie tyle jest pojęciem historycznem lub kulturalnem, co geograficznem, gdyż znajdujemy w tej części świata wszelkie możliwe kultury, rasy i przeciwieństwa. Nie będziemy ograniczać się do wymienienia skarbów Indyj, czy też oryginalnej architektury chińskiej, aby określić Azję: tę część świata trzeba „przeżyć" i wtedy dopiero można o niej coś powiedzieć, bo jest ona jak morze, w którem znajdziemy najprzedziwniejsze twory natury.

Fot. Paul Popper, Londyn





Anglja jest wielkiem
muzeum, w którem
eksponatami są nie
tylko rzeczy, gmachy, ale
też ludzie. Zmieniają on
stroje, ale nie duszę: są
więc tem ciekawsi. Nie
wiele nam potrzeba, aby
doznać tego wrażenia
wchodząc do parlamentu
czy do sądu widzimy pa
nów w perukach, angiel
skie kluby każą nam my



śleć o Dickensie i dobrodusznym panu Pickwicku, wyścigi są obrazem niezrównanym, gdyż na całym świecie nie spotkamy tylu jednakowo a jednak wytwornie ubranych dżentelmenów, co tam. Zamki szkockie pełne są jeszcze po dziś dzień duchów, tem bardziej, że ich właściciele



chętnie przystają na ta
kich rezydentów, bo ich
nic nie kosztują, a pięk
ne stroje high-landerów
i Szkotów mają w sobie
jakiś byronowski czy
scottowski sentymenta
lizm i romantyzm. Wy
starczy więc obserwowa
ulicę angielską, zwłasz
cza londyńską a nauczy
my się i zobaczymy wie



le rzeczy. Prawdziwie ciekawym jednak jest zwykły dom angielski, zwykłe ognisko domowe: jest ono jedną z tych miljonowych twierdz, które bronią Imperjum Wielkiej Brytanji — na pięciu kontynentach.

Fot. J. Szwedo

TAMIZA

WENECJA











Poza tem, że Włochy mają postać buta, co łatwo
sprawdzić na mapie, posiadają one dużo cieka-
wych rzeczy dla turysty. Nieraz się zdaje, jakby
ten kraj stworzono naumyślnie dla poetów, filmowców
i hotelarzy. Ale tak nie jest: piękno Włoch jest istotne
mimo, iż je już tylu ludzi wykorzystało dla nędznych,
brudnych pieniędzy. Zresztą każdy z nas znajdzie we
Włoszech to, czego szuka, to jest samego siebie, a prze-
życia jego zależeć będą nie od piękna włoskiego nieba,
zabytków w Watykanie czy nocnych cieni na Kolos-
seum, lecz od bogactwa jego własnej duszy. Włochy, jak
każdy piękny kraj, są rodzajem wywoływacza, przy po-

mocy którego z mglistych głębin naszej duszy wyłania
się piękny i pomimo, że wszyscy go już oglądali, nowy
obraz. Mimo to jednak należy zwrócić uwagę we Wło-
szech w pierwszym rzędzie na: 1. wieczorny nastrój na
Piazza San Marco w Wenecji, na 2. galerję Pittich i Uf-
fizich, na villę d'Este i villę Medici, 3. na nowo osuszo-
ne i zabudowane części Romagni, Aprilię i inne, 4. na
Neapol, pełen południowego gwaru i skwaru, na histo-
ryczne zamki włoskich satrapów renesansu i 5. na pięk-
ne Włoszki, które nieraz przypominają modelki wiel-
kich malarzy tej pięknej krainy. Inicjatywa osobista i
oryginalność w zwiedzaniu zawsze pożądana.

Tajemnica Raula de Vence

EWA MIEROSZEWSKA

N O W E L A

Hrabia Raoul de Vence od kilka lat należał do tych szczęśliwców, którym udało się zwrócić na siebie uwagę bawiącego się Paryża. Nie jest to takie proste, jeśli się zważy, że Paryż jest zepsuty i kapryśny jak piękna kobieta i niełatwo mu czemkolwiek zaimponować.

Hrabia Raoul zaś imponował nie tyle urodą (choć był bardzo przystojny), i nie tyle bogactwem (choć żył na stopie wykwintnej), lecz powodzeniem u kobiet najładniejszych, najbogatszych i najelegantszych, jakiemi mogła się w ostatnich sezonach poszczycić nadsekwańska stolica. W czem tkwiła tajemnica jego miłosnych sukcesów — trudno rozstrzygnąć. Faktem jest, że przyciągał kobiety jak magnes, pomimo — a może właśnie dlatego — że poczucie wierności i stałości uczuć było mu głęboko obce. „Dozgonna miłość" nie istniała w jego słowniku. Traktował kochanki jak rękawiczki: nietylko często je zmieniał, ale posiadał ich w każdym sezonie po kilka naraz.

Można go było spotkać rano na konnej przejażdżce w Lasku Bulońskim ze znaną sportsmenką Marją-Krystyną Gaudier, na lunchu w hotelu „George V" w towarzystwie hrabiny de Buise, na five o'clocku u Ritza przy boku pikantnej Corinne Grantini, a tegoż samego dnia jeszcze tańczył wieczorem w najmodniej „boîte" na Montparnassie, z sławną z urody i kolekcji bezcennych szmaragdów panią Donin, żoną bogatego przemysłowca z Roubaix.

Skąd przybył i z czego czerpał swoje — pokaźne zresztą — dochody, nikt nie wiedział. Pytany, odpowiadał niedbale, że żył dotychczas na prowincji w posiadłościach ziemskich swego stryja, lecz zatęskniwszy do barwnego życia stolicy przeniósł się na stałe do Paryża.

— Nie byłem stworzony do grzebania w ziemi — mówił z uśmiechem, patrząc z upodobaniem na swoje wypielęgnowane, arystokratyczne ręce, któremi specjalnie się szczycił.

Hrabia Raoul uchodził w „wysokich" sferach stolicy za arbitra męskiej elegancji, co rzadsze jednak — znał się jak nikt na strojach kobiecych. Był istną wyrocznią w dziedzinie mody, a kobiety które wyróżniał swymi poglądami, zwracały wnet uwagę eleganckiego Paryża wytwornością i pomysłowością swych tualet. Była to bezwątpienia zasługa dobrych rad Raoula.

— Gdyby hrabia otworzył w Paryżu magazyn, stałby się wnet gwiazdą „haute couture" — mawiali pochlebcy.

De Vence poprawiał niedbałym ruchem nienaganny węzeł krawatu i odpowiadał pobłażliwie:

— Tak sądzę, lecz ta droga do „sławy" musi dla mnie pozostać zamkniętą. Nikt z mego rodu nie wojował igłą i nożycami raczej mieczem i szpadą.

Zamiast więc robić konkurencję Lanvinom czy Worthom, hrabia Raoul zadowalał się towarzyszeniem wybrankom swego serca na pokazy modeli w ich biało-złotych salonach i udzielaniem im bezcennych rad tualetowych. Uchodził w tej dziedzinie za bezapelacyjny autorytet i wystarczyło, że skrytykował rzut draperji w najnowszej tualecie z „velours sans pour" pięknej Henrietty de Rieux, aby tego samego wieczora oświadczyła ona mężowi, że „tego świństwa nosić już nie będzie" i że od dziś przenosi się do Chanela, gdyż „tylko tam można dostać coś przyzwoitego".

— Twierdzi tak zresztą nawet Raoul de Vence, a wiesz chyba najlepiej, że on się na tem zna — dodawała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Zdruzgotany tym niezbitym argumentem małżonek, przyznawał rację i obiecywał solennie pokrywać odtąd słone rachunki Chanela. (Nawiązał był właśnie czarujący romansik z własną sekretarką i gotów był wobec żony do daleko idących ustępstw, aby tylko odwrócić jej uwagę od swoich sercowych spraw)...

— — — — — — — — —

Ostatnią „flamme'ą" pięknego Raoula stała się z początkiem sezonu 1939, obiecująca nowicjuszka na terenie Paryża — Arletta Sarmol. Miała wszelkie szanse aby zabłysnąć jako gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie „ville lumière". Była ładna, miała cudowną figurę, 26 lat, dużo sprytu i temperamentu, a przytem męża — którego przodków napróżno szukaćby w starych herbarzach, lecz który dorobił się pokaźnej fortuny na jakichś dostawach broni w czasie wojny hiszpańskiej. Mieli piękny pałacyk w Passy, doskonałego kucharza i ostatni model Rolls-Royce'a — czegóż więcej żądać.

Arletta posiadała więc uzasadnione przyczyny do patrzenia z optymizmem w przyszłość, tembardziej że jako doradca i patron towarzyszył jej pierwszym krokom na śliskich posadzkach stolicy nieoceniony Raoul.

— Jesteś najpiękniejszą kobietą Francji — mawiał do niej! — zrobię z ciebie królowę Paryża, ale — tu głos zawieszał tajemniczo — stawiam jeden warunek: musisz mnie słuchać i pozwolić mi działać! Uroda, majątek — to jeszcze nie wszystko — ciągnął dalej ojcowskim niemal tonem. — Paryż jest wymagający i kapryśny; na to aby go zdobyć trzeba stać się w pewnej dziedzinie niedościgłym wzorem — poprostu doskonałością! Masz wszelkie dane ku temu, aby olśnić go elegancją i szykiem, ale brak ci jeszcze doświadczenia. To wszystko co nosisz — to jeszcze nie „to"... Musisz absolutnie zerwać z wszelkim szablonem i przeciętnością. Ten kostjum np. przybrany srebrnymi lisami, to ładne, ale jakżeż banalne! Potrzeba ci czegoś oryginalniejszego, rzadszego, czegoś absolutnie „inédit". Widziałem u Chanela na ostatniej rewji wieczorowy płaszcz z miedziano-brązowego aksamitu, przybrany szenszylami. Wymarzony dla ciebie! Kup ten model, zanim rzuci się na niego Odetta Fleurange; wiem, że chce go nabyć — uprzedź ją. To twoja najgroźniejsza rywalka!

Trudno żądać od kobiety, aby oparła się takim argumentom. Tego samego dnia podziwiano w Operze Arlettę Sarmol w królewskim płaszczu z szenszylami i w bajecznej tualecie ze złotej siatki, kreacji Chanela.

— — — — — — — — —

— Hallo! Czy to ty, Raoulu? — Tak, chciałabym abyś poszedł ze mną do Revillona. O 12-tej mam mierzyć mój cape z gronostajów. Mam wrażenie, że kołnierz nie drapuje się dość płynnie, musisz to zobaczyć...

— Co? Nie możesz? Jesteś zajęty? Pracujesz...? Śmieszne! Cóż ty właściwie możesz mieć do roboty!

— No, dobrze. Wobec tego pójdziemy jutro przed lunch'em, ale napewno!

Arletta zawiesiła słuchawkę w zamyśleniu. Przez chwilę patrzyła poprzez kremowe koronki firanek na czuby drzew, z których ostatnie liście opadały zniechęcone, bezbarwne, pozbawione już wdzięku przedwczesnej śmierci jesiennej... Kochanek jej był tajemniczy i nieuchwytny. Tak mało właściwie wiedziała o jego osobistem życiu...

— — — — — — — — —

Raoul de Vence powrócił do przerwanej telefonem Arletty pracy z nietajonem znudzeniem. Na biurku leżały przed nim rozrzucone papiery, zapisane cyframi. „Trzeba to będzie zliczyć" — pomyślał niechętnie. — „A za godzinę trzeba być u Wortha z hrabiną de Buise! Muszę ją namówić na tę suknię z piór. Kosztuje słono. Worth powinien zrozumieć, że niełatwo w tych czasach znajdzie na nią odbiorcę. Powinien mi dać tym razem niemniej jak 30 procent".

Westchnął, zapalił Cravena i pochylił się z powrotem nad rachunkami.

Rezultaty obliczeń musiały być zadawalniające, gdyż po półgodzinie Raoul wyprostował się energicznym ruchem, poptrzył z uśmiechem w nieco zbyt wypukłe oczy swego przodka, wiszącego naprzeciw biurka w ciężkiej rzeźbionej ramie i nacisnął dzwonek. Lecz jeszcze zanim pojawił się zgięty w ukłonie Gaston, szybko zgarnął papiery, złożył je starannie choć pośpiesznie do teczki i zamknął na klucz w szufladzie.

— Gastonie, mój szary garnitur w paseczki, za pół godziny muszę być gotów — rzucił lokajowi.

— Jak pan hrabia rozkaże. — Gaston zniknął wśród ukłonów.

Gdy z uderzeniem dwunastej hrabia siadał za kierownicą sportowego sydera, stary sługa z zazdrością pomieszaną z podziwem patrzał za nim z okna garderoby.

— Takie życie to rozumiem — mruczał. Pracować to nie musi, a wszystko ma!

Nie przyszło mu pewnie do głowy, że lśniący Fiat wiózł jego pana do pracy i to bynajmniej nie najlżejszej!

— — — — —

Wczesny mrok listopadowy usiłował otulić Paryż w ciemność, zwycięsko zwalczaną przez jaskrawe smugi neonów i świetlne kule zapalanych latarń. Rozpraszały go bez trudu światła stukonnego Rolls-Royce'a Arletty, mknącego bezszelestnie po lśniącym

asfalcie avenue des Champs Elysées. Piękny był Paryż o tej godzinie. Gdy minęli Rond Point — biały łuk Gwiazdy zamajaczył w tęczy świateł jak widmo. Arletta z żalem posłała ku niemu zachwycone spojrzenie, gdy samochód skręcił na prawo. w ciemniejszą i cichszą ulicę de la Boëtie. Na pobliskim kościele Saint-Philippe du Roule biła szósta, gdy Rolls-Royce zastopował przed numeres 36 bis. Nakazawszy szoferowi powrócić za pół godziny, trochę zdyszana dzwoniła Arletta do drzwi z orzechowej boazerji, noszących mosiężną tabliczkę z napisem „de Vence".

— Pana hrabiego niema w domu — Gaston pochylił się w ukłonie. Znał się na kobietach. Ta pani w nurkowem futrze zasługiwała na wyszukapą uprzejmość.

— Ach, tak?! ale pewnie za chwilę powróci. Zaczekam... — dodała już zdecydowanym tonem, choć w pierwszych jej słowach przebijał zawód i lekkie zakłopotanie.

Nie czekając na aprobatę Gastona, weszła rezolutnie do gabinetu Raoula i rozsiadła się w głębokim fotelu.

— Ładnie mieszka, nowocześnie, z dyskretnym komfortem — taksowała wnętrze, wodząc wzrokiem po ścianach obitych surowym jedwabiem, których płaszczyznę łagodziły zgaszone barwy starych obrazów i portretów, nadających mieszkaniu stempel arystokratycznej patyny.

Wyciągnęła przed siebie smukłe nogi, obciągnięte jedwabiem najdroższych Kayserów, wyjęła z krokodylowej torebki papierośnicę i zatknęła w długą cygarniczkę wonnego „Abdullah". Wolała wprawdzie cieńsze i lżejsze papierosy, ale paliła „Abdulle", gdyż uważała je za najbardziej „chic". Napróżno szukała w torebce zapalniczki. Musiał zostawić ją w domu lub w aucie. Już miała zadzwonić na Gastona, gdy dostrzegła na biurku Raoula przybory do palenia. Zapalając papierosa mimowolnie rzuciła okiem na lśniący blat biurka, na którym spoczywała majestatycznie teczka z weneckiej skóry. —

Wystawał z niej rożek błękitnej koperty. Właściwy kobietom demon ciekawości obudził się w Arlecie i zelektryzował jej myśli. List? Od kogo? Napewno nie od niej, używała bowiem jedynie papieru w najmodniejszym odcieniu „terre cuite". Z pewnością od kobiety! Rywalka? Może zwycięska?

Nie skończyła jeszcze tej myśli, a już jej szczupłe, nerwowe palce ujęły podłużną kopertę, otwarły ją i wydobyły we czworo złożoną ćwiartkę papieru.

Drogi Panie!

Z rozliczenia naszego w tym miesiącu wynika, że należy się panu:

20% od paljetowej sukni hr. de Buise . . . . 1,200 fr.
20% od płaszcza i kostjumu nabytych przez Mrs. Ruff . . . 2,000 fr.
20% od płaszcza z szenszylami p. Sarmol . . . . 3,200 fr.
Razem 6,400 fr.

które przekażemy W. P. natychmiast.

Z poważaniem: Chanel.

„20% od płaszcza p. Sarmol!' — szept Arletty podobny był do syczącego świstu węża. „A więc to jest Raoul, piękny, wytworny, subtelny kochanek! W tem leży tajemnica jego beztroskiego, światowego życia! Naganiacz, pospolity agent konfekcyjny, cynicznie polujący na najpiękniejsze kobiety Paryża, aby ściągać je jako bezwolne ofiary do najdroższych magazynów!"

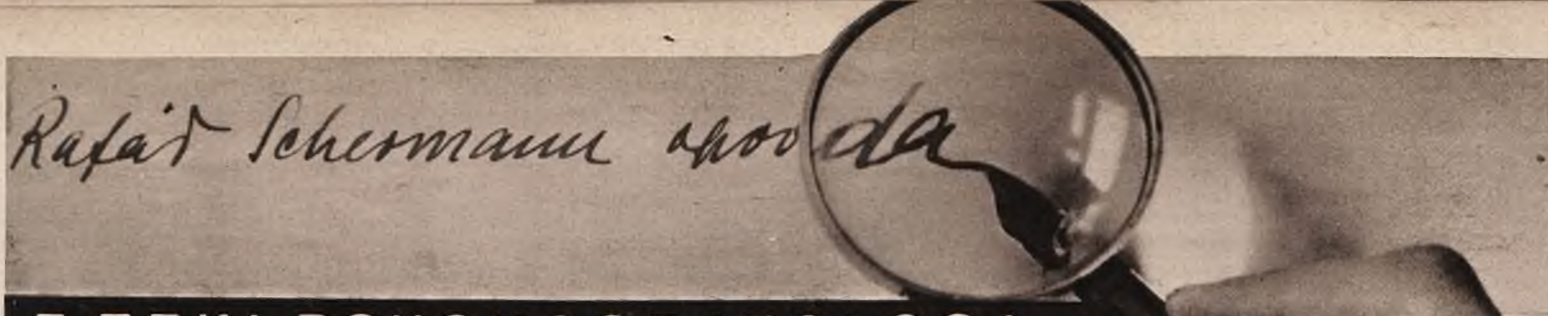
Z zimną determinacją rozprostowała Arletta zmięty w zaciśniętej dłoni błękitny arkusik. Starannie włożyła go do koperty, na której w braku ołówka wypisała kredką do warg wielkiemi literami jedno tylko słowo: P o d ł y!

Położyła kopertę na samym środku pięknej weneckiej teczki i — nie zauważywszy nawet w hallu Gastona wybiegła z mieszkania, zatrzaskując za sobą ze wzgardą politurowane drzwi garsoniery Raoula de Vence.

— — — — — — — — — — — —

Jakieś nagłe sprawy rodzinne musiały odwołać hrabiego de Vence gdyż niespodzianie wyjechał w pełni sezonu z Paryża. W oknach apartamentu przy rue de la Boëtie 36 bis, zapuszczono story, a niewzruszony Gaston udzielał pytającym lakonicznej odpowiedzi:

— Pan hrabia wyjechał na dłużej...



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA



AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Pewnego razu zwrócił się do mnie znany lekarz norymberski dr. F. z prośbą, by mógł mi przedstawić swego przyjaciela, zdolnego aktora, który przeszedł silny moralny wstrząs mogący raz na zawsze unicestwić jego karjerę a jego samego skłonić do samobójstwa. Artysta, o którego chodziło, stworzył sobie po ożenieniu się z ukochaną kobietą zaciszne gniazdo rodzinne i żył jak najszczęśliwiej. Aż pewnej nocy powraca do siebie i znajduje dom opustoszały: ukochana żona ulotniła się z jego najlepszym przyjacielem również aktorem. Nawet leczenie przez wybitnych psychjatrów nie zdołało doprowadzić nieszczęśliwego męża do równowagi, aż wkońcu przyjaciel jego dr. F. wpadł na pomysł, aby go ze mną zaznajomić.

Następnego dnia zjawia się u mnie artysta i na moją prośbę daje mi próbkę pisma swej żony oraz jej kochanka, poczem sam skreśla kilka słów. Na podstawie tych trzech prób, z których, jeżeli chodzi o treść, nic nie wynikało, określiłem mu sytuację szczegółowo.

— Kobieta, której stratę pan tak opłakuje, działała na podstawie chwilowego impulsu, a mężczyzna dla którego pana opuściła, nie może się jako artysta nawet z panem mierzyć.

Słowa moje przerwał nieszczęśliwy mąż:

— Cóż mi z tego przyjdzie, — dziś rano otrzymałem ten oto list, i jak z niego widzę żona moja nie zamierza do mnie powrócić.

Zaciekawiony wziąłem list do ręki i wkrótce lekki uśmiech ukazał się na mej twarzy.

— Myli się pan, drogi panie, żona pańska powróci i to w chwili, kiedy się pan tego zupełnie nie będzie spodziewał.

— A dlaczego nie teraz? — zapytał pełen niepokoju.

— Najprzód musi przesycić się i znudzić całą przygodą a to się stanie niechybnie, gdyż kochanek ją zawiedzie i zacznie tęsknić za duchowymi bodźcami, jakie znajdowała w życiu z panem.

— Czy mam się zgodzić na rozwód? — pytał dalej zawiedziony mąż.

— Nie! Z tem może pan poczekać. Pewnego dnia powrót pańskiej żony stanie się panu całkiem zrozumiały i sam się pan będzie dziwić, że mógł pan myśleć o śmierci i podobnych rzeczach. Dzisiaj zdaje się panu że nie może pan żyć bez tej kobiety, która była pańską pierwszą wielką miłością, ale widzę z pajskiego pisma, że będzie miał pan wkrótce tyle podobnych przeżyć, iż cała ta sprawa będzie na panu robiła wrażenie epizodu z cudzego życia. Posiada pan wielkie zdolności a poczucie niższości, jakie przeżycia ostatnie w panu obudziły, wkrótce ustąpi. Gdyby żona pańska zawczasu znalazła powrotną do pana drogę przyjmie ją pan z pewnością.

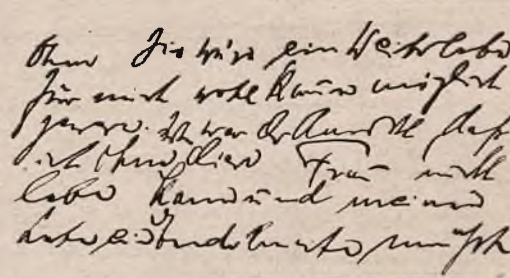
Na tem skończyła się wizyta znanego aktora u mnie, który pocieszony opuścił mój dom.

Ze zrozumiałych względów nie mogę tutaj podać bliższych szczegółów dalszego rozwoju całej sprawy i przytoczę jedynie listy dr. F. oraz listy zdradzonego męża, które do mnie napisali. Dr. H. F. pisze:

„Szanowny panie! Z całą satysfakcją mogę panu donieść, że moja rada, aby mój przyjaciel p. M. oddał się w pańskie ręce, okazała się w pełni trafną. Bez pańskiej pomocy nastąpiłaby katastrofa i M. byłby popełnił samobójstwo. W ostatnich czasach był zupełnie niezdolny do pracy i stracił wszelkie panowanie nad sobą. — Po rozmowie z panem stał się poprostu innym człowiekiem: nie przypuszczałem nawet, że zajdzie w nim taka zmiana. Uratował pan życie i to życie wartościowego człowieka, za co wyrażam panu serdeczną podziękę".

Sam uratowany artysta w tym samym mniej więcej czasie pisał do mnie:

„Szanowny panie! Będąc jeszcze pod wrażeniem naszej rozmowy niedzielnej, czuję się w obowiązku złożenia panu pewnego zwierzenia. Uratował mi pan życie, gdyż najbliższe 24 godzin byłoby zadecydowało o moim losie. Dziś rano obudziłem się jak ktoś, który z ciężkiej choroby powraca do zdrowia. Pańska dobrotliwa siła oddała mi z powrotem życie".



Próbka pisma znanego artysty.

Jak się później dowiedziałem, powróciła niewierna żona, żałując za swe winy i skruszona, do swego małżonka, a w dwa lata później otrzymałem od naszego artysty list, wykazujący znaczne uspokojenie w jego usposobieniu. Brzmiał on następująco:

„Szanowny panie! Między moją ostatnią wizytą u pana a dniem dzisiejszym wiele się wydarzyło. Gdy dwa lata temu odwiedzałem pana, byłem słabym człowiekiem, którego pan siłą swą i dobrocią postawił na nogi. Dalsze życie byłoby dla mnie rzeczą niemożliwą. Zdawało mi się wtedy, że bez tej kobiety nie będę mógł żyć i że będę musiał skrócić moje dni. Dopiero pańska perswazja i przekonanie mnie, że posiadam siły do przetrzymania kryzysu, utrzymały mnie przy życiu. Zawdzięczam to jedynie panu".

Dzisiaj nieszczęśliwy kiedyś artysta jest człowiekiem w pełni zadowolonym, odnoszącym duże sukcesy i mającym nadzieję na dalsze.

* * *

Nieszczęśliwa miłość młodej dziewczyny jest tem tragiczniejsza, gdy los pozbawił ją wszelkich życiowych dóbr. Jakże ciężko więc i boleśnie musi odczuć miłosne rozczarowanie sierota, która nie posiada w życiu żadnych jasnych chwil, a jest również pozbawiona uczucia, którem każda istota otoczona jest w życiu, mianowicie miłości rodzicielskiej. Człowiekowi wrodzona jest potrzeba czułości: sierota, która nie znała nigdy rodzinnego ciepła, tem silniej przywiąże się do mężczyzny, który okazuje jej choćby tylko trochę miłości, ale też rozczarowanie będzie ją tem więcej boleć. *(C. d. n.)*.
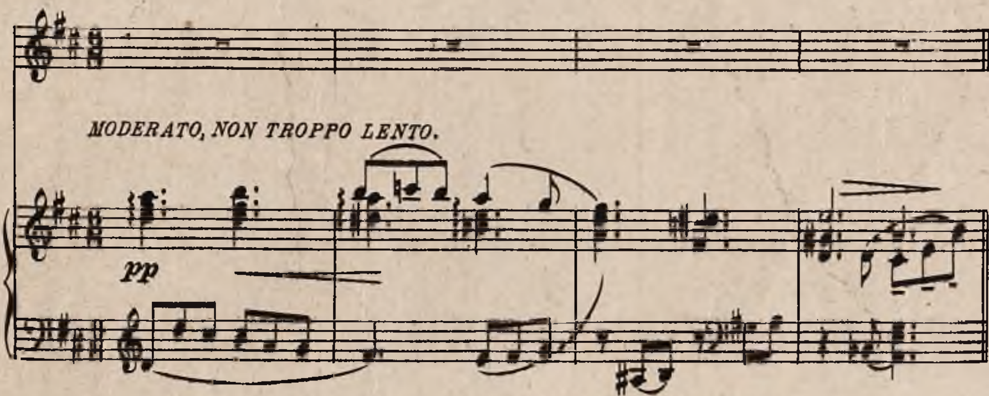
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA".

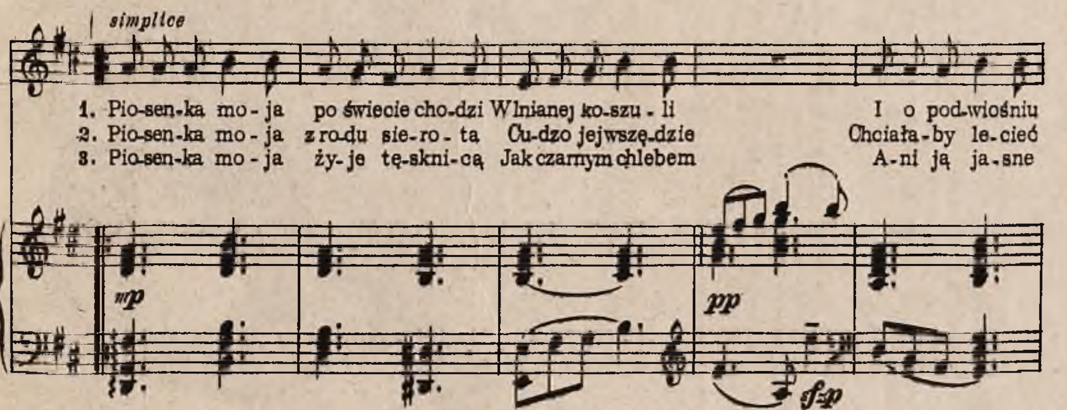
Piosenka moja...

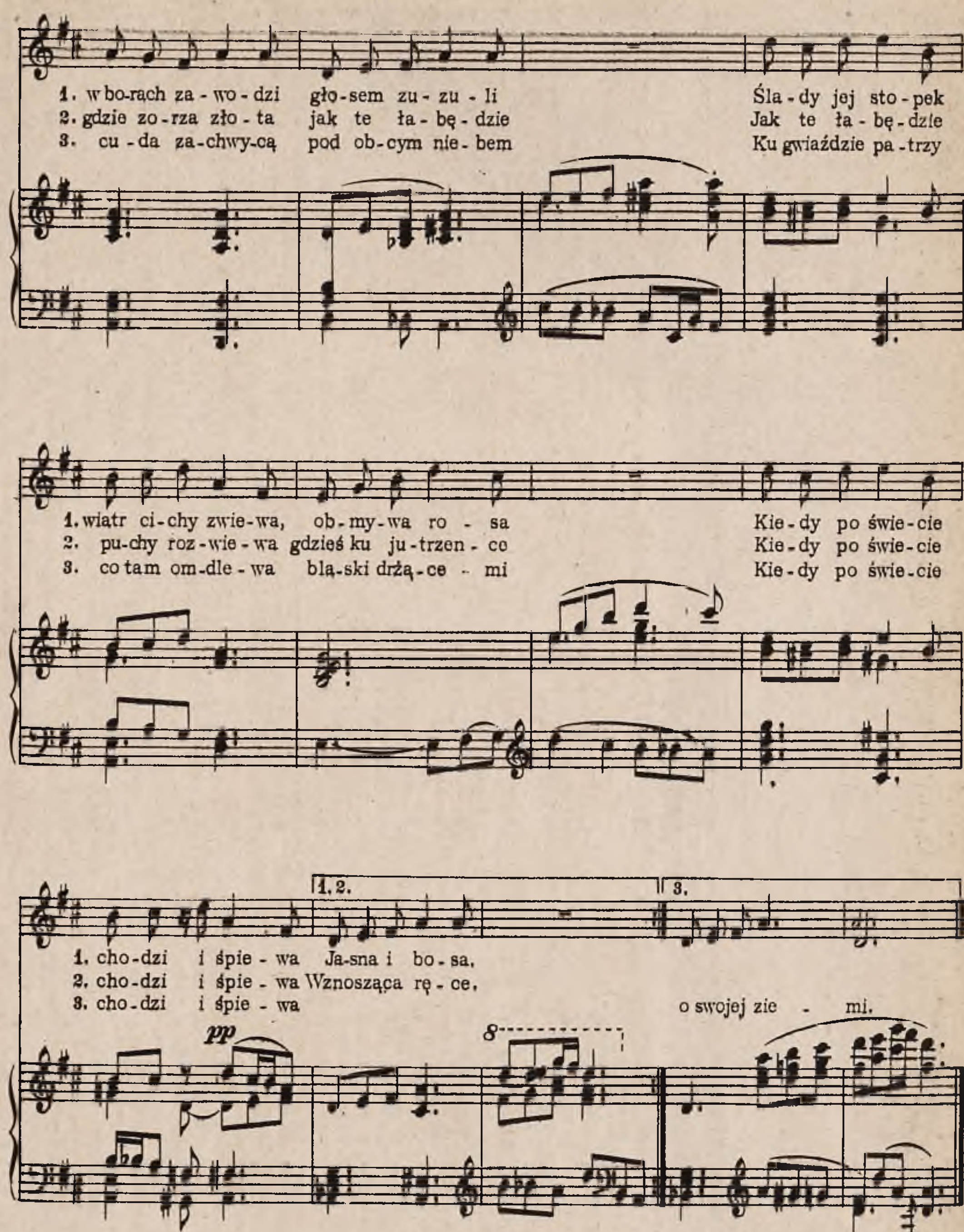
★

Słowa:
M. KONOPNICKA

Muzyka:
WACŁAW GEIGER







ADAM TARNOWSKI

PIERWSZA NOC

W „INTERJORZE"



Przybyliśmy późnym wieczorem do stacji N. Mój towarzysz miał już zamówione zawczasu konie, to jest tak zwaną „karossę", zaprzężoną w dwa krępe flegmatyczne koniki.

Po paru minutach jazdy, wśród ledwo zarysowujących się domostw, wjechaliśmy w rodzaj wąwozu.

Przebyte wrażenia, męcząca podróż, w dusznych wagonikach, wśród palącego słońca i nagły przeskok do prawie mroźnego górskiego powietrza, usposobiły mnie sennie.

Nie bacząc na dosyć męczące pytania mego przygodnego towarzysza „co słychać w starym kraju", zacząłem powoli drzemać, odpowiadając zrzadka monosylabami.

Na lewo: Osadnik polski w Paranie z rodziną.

Nagle w nawpółprzymykające się oczy wpadł mi drobny błysk światła.

Zlekka rozbudzony zacząłem się rozglądać.

Jasne podzwrotnikowe niebo pozwalało rozpoznawać szarawą smugę drogi pełznącej gdzieś popod górę i duże ściany zarośli o powyciąganych na tle. nieba fantastycznych skrętach gałęzi. Konie wlokły się leniwie. Woźnica siedzący przedemną, zdaje się drzemał, pochylony ku przodowi. Mój towarzysz milczał.

Nagle na sto czy więcej kroków przed nami, w gąszczu lewej ściany, błysło światło mocno pociągniętego papierosa.

Wyprostowałem się na siedzeniu. Oczy dziwnie szeroko mi się otworzyły i nagle opadł mnie cały rój wspomnień, przeczytanych hen kiedyś, wszystkich zawiłych przygód z indja-



Fragment kolonji polskiej „Jagoda".



Wodospad na rzece Yguassu w Paranie.



Nad rzeką Yguassu rozciąga się dżungla brazylijska.



Środki transportowe w dżungli są dosyć prymitywne.

nami, bandytami, duchami i Bóg wie z czem.

Papieros mignął jeszcze wyraźniej, jeszcze mocniej raz, dwa, potem w miarowych odstępach dwa, raz, trzy.

Błysnęła mi myśl, że ktoś sygnalizuje małą latarką elektryczną. Obejrzałem się instynktownie za siebie. Nie było widać nic.

Towarzysze moi niewzruszenie drzemali.

W miarę wolnego zbliżania się, natężenie światła rosło, a miarowe błyski nie pozwalały już wątpić o sygnalizacji.

Chciałem trącić mego towarzysza, gdy nagle ogienek błysnął mocniej, zapalił się na stałe, wyraźnie oświetlając jakieś wielkie liście, przepływając falistym ruchem wpoprzek drogi zniknął w przeciwległej ścianie.

Zwierzę, duch? ale dlaczego jednookie? Bez ceremonji trąciłem łokciem mego sąsiada, pytając mimowoli przyciszonym głosem: Pan widział? Co to było? Nastąpiło długie ziewnięcie. — No... tak, zaraz pan zobaczy więcej, właśnie dojeżdżamy do bagna, to tutejsze błędne ogniki.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Czułem instynktownie, że mieliśmy do czynienia z czemś fizycznie żywem, poruszającem się i działającem celowo, czyżby więc nasze podania ludowe o błędnych ognikach, dopiero tu w ciemni podzwrotnikowej nocy miały ukazać mi prawdziwe oblicze?

Mój przykry nastrój przerwało nowe światło, potem drugie, trzecie i stopniowo otoczeni zostaliśmy na ziemi, na bokach, w powietrzu przez rój fosforyzujących jednookich czarcich ślepi, jakgdyby przyglądających się nam z dziwnie ironiczną natarczywością.

— Panie! czy jednak Pan się nie myli? To są błędne ogniki? — pytałem z naciskiem. No tak, usłyszałem w odpowiedzi po chwili namysłu, to znaczy nie ogniki, a raczej świetliki.

Po nagłem odprężeniu duchowem ogarnął mnie pusty śmiech i wrócił dobry humor.

Podziwiałem nadzwyczajne wprost widowisko przepięknych wielkich świetlików i ich harmonijne faliste zniżanie się i opadanie i teraz dopiero „zauważyłem", że jedziemy wśród niemilknącego koncertu świerszczy, wypełniającego jakgdyby całą atmosferę.

Balsamiczne powietrze i zmęczenie zrobiły swoje. Zapadłem w jakiś sen dziwny, półświadomy, gdzie kontury rzeczywistości rozpływały się w marzeniach.

JAN MALESZEWSKI

Rzemiennym dyszlem...

Przypominam sobie, że jako mały chłopiec starałem się określić miasta pewnymi kolorami, uważając, że one najlepiej oddadzą ich charakter. I tak zdawało mi się, że Paryż ma kolor czerwony, Budapeszt brązowy, Berlin niebieski... Logiczne wytłomaczenie tej skłonności do kolorystycznego charakteryzowania miast, dałoby się, nie sięgając nawet do uczonych hipotez, wytłumaczyć faktem, że w danem mieście zafrapował oko małego chłopca widocznie ten właśnie a nie inny kolor.

Ale w tem „dziecięcem szaleństwie" był, mimo wszystko, pewien system i pewna logika. Nie sięgając do zawiłych tłumaczeń na temat symbolistyki kolorów można łatwo na własnem stwierdzić doświadczeniu, że każde miasto posiada swój charakter, swoje oblicze, że każde jest inne, nietylko faktycznie, zależnie od innych ulic, placów, czy domów, ale inne w naszem pojęciu, w naszej fantazji, i, że zależnie od tego, nabiera w naszych oczach, w naszej świadomości osobnego charakteru. Zresztą nasze pojęcia o miastach nie muszą się bynajmniej pokrywać z tem co o nich wiemy: przybywając do ponurego miasta w miłem towarzystwie czy celem załatwienia pomyślnych dla nas transakcji lub przeżycia miłych chwil, miasto nabiera dla nas uroku, jest słoneczne, piękne, czyste, wytworne, gdy faktycznie jest brudne, ciasne, ponure.

Nietylko w naszych oczach każde miasto jest inne: jest ono niem naprawdę, dzięki odrębnemu trybowi życia mieszkańców, specjalnym warunkom położenia, klimatowi, urbanistycznym właściwościom i t. d. Wspaniale opisuje takie przemiany, takie wyrabianie się charakteru miasta, Guy de Maupassant w swej powieści „Mont Oriol". Mała miejscowość nadmorska, nie zauważona przez nikogo staje się miejscem kuracyjnem, nowem Deauville, Spa czy Aix-les-Bains. I, jakby za uderzeniem różdżki czarodziejskiej, zmieniają się nietylko chałupy na różne „pałace", ale też ludzie, koloryt miejscowości, jednem słowem wszystko.

I tak, miasto powoli, z roku na rok, z generacji na generację swych mieszkańców pogłębiając swe charakterystyczne cechy, staje się całością zamkniętą w sobie, odrębną, plastyczną. Dzieje się to zresztą w pierwszym rzędzie z jego mieszkańcami: jakże odmienny jest Kraków, (którego mieszkańców tak wspaniale podpatrzył Boy w swej książce „Znasz-li ten kraj?") od Warszawy, Wilna, Poznania, Lwowa! To inne światy, inna mentalność, inny akcent, inny ruch



K R A K Ó W

Kraków, dawna stolica Królestwa, zajmuje najpoczytniejsze miejsce wśród przysłów, które po większej części są dla niego zaszczytne. Mówiono więc: „Sola Cracovia est Polonia", (sam Kraków to Polska), albo „Kraków drugi Rzym", „Komu Akademja Krakowska nie jest matką, temu pewnie jest babką", wreszcie tak oznaczano najważniejsze miasta Polski z Krakowem na czele: — „Kraków Pan, Lwów ojciec, Warszawa matka, Lublin jest siostrą tobie".



W A R S Z A W A

Chcąc umiejscowić najlepsze rzeczy w Polsce w kilku miastach mawiano, że najcelniejsze są: „Gdańska gorzałka, toruński piernik, krakowska panna, warszawski trzewik". Warszawa bowiem słynęła już wtedy z najlepszego obuwia w Polsce. W XVIII. wieku powstało zresztą mniej pochlebne przysłowie charakteryzujące zepsucie ówczesnych kobiet stolicy: „lepsza wody szklanka, niźli Warszawianka". A może ułożono to przysłowie tylko dla rymu? Przysłów nie można brać zbyt poważnie!



P O Z N A Ń

„Lepiej w Poznaniu mieć szeląg, jak w Krakowie tysiąc złotych", nie odnosi się do taniości Poznania lecz do okoliczności, że burmistrz poznański, Janecius, miał w tem mieście folwark, zwany Szelągiem, toteż chętnie używał tego kalamburu. Mieszkańców Poznania charakteryzowano, że „w Poznaniu poważni, we Lwowie wymowni, w Krakowie ludzcy ludzie".



G D A Ń S K

Poza przysłowiem o wódce gdańskiej, która jako „goldwasser" słynęła w całej Polsce, jest inne, bodajże ciekawsze: „rozgniewał się jak burmistrz gdański na króla polskiego", które odnosi się do buntu gdańszczan przeciwko królowi Stefanowi Batoremu a określa śmieszne dąsy karła wobec mocarza. Mówiono też „spuścić do Gdańska" czyli roztrwonić, natomiast określenie „po gdańsku" wyrażało tyle co dobrze, dokładnie, porządnie.



Ż Y W I E C

Żywiec, którego okolice znane są dziś z pięknych strojów tamtejszego ludu, słynął w dawnych wiekach z licznych rozbójników, toteż weszło w przysłowie wyrażenie „w górach żywieckich Kaim pałkę zgubił". O niedalekim Tyńcu istniało przysłowie: „Kto ma Tenczyn, Mogilany, ten się liczy między pany", co zresztą w innym warjancie brzmiało: „Kto ma Pińczów, Chrobrz, Książ i Szaniec, Może iść z królową w taniec".

ręki, inny ukłon i inny sposób jedzenia tej samej potrawy.

Odrębności te od wieków zauważano i krytykowano, po sąsiedzku. Powstawały określenia, przysłowia, uszczypliwe lub pochwalne wiersze, żarciki. Miasta zdobywały przydomki, ucierały się pojęcia o nich, kamieniały, stawały się rzeczownikiem lub przymiotnikiem. Paryż został ową „Ville Lumière", Neapol, to zawsze ten „vedi Neapoli e poi mori", Wiedeń to słynna „Kaiserstadt", Bukareszt to „Paryż Wschodu" czy Bałkanów itd. A we Włoszech określano miasta:

Roma la santa,
Napoli la gentile,
Venezia la ricca,
Genova la superba,
Milano la grande,
Firenze la bella,
Bologna la grassa,
Padova la dotta,
Ravenna l'antiqua.

Podobne określenia miast znajdujemy też w literaturze francuskiej, a jak zobaczymy i w naszej tradycji miejskiej dochowały się ciekawe przysłowia à propos miast. Oczywiście, że ulegały one zmianom, alteracjom i zgodnie ze zmianami faktycznemi stawały się nieraz, mniej lub więcej, nieaktualne.

A jakież bogactwo tych przysłów znajdujemy w Polsce! Jakaż różnorodność miast, jakie bogactwo „klimatu kulturalnego", cech, właściwości, charakterystyk! Przecież Rzeczpospolita, która do pierwszego rozbioru była jednem z największych terytorjalnie państw Europy, miała niezwykłą rozpiętość kultury, języka, położenia geograficznego. Bo pomyślmy tylko, że Biały Orzeł panował od Kijowa po Gdańsk, od Lwowa po Rygę! Niektóre z tych przysłów są wybitnie humorystyczne, inne poważne, rzeczowe, inne wreszcie dziś mało zrozumiałe, przebrzmiałe. Niektóre miasta słynęły z wyrobów swoich, hodowli warzyw itd. mówiono „dawidgrodecka dynia", w Brzezinach w woj. łęczyckiem, wyrabiano świetne piwo, toteż mówiono „nektar brzeziński", miód kowieński również słynął, „słodki jak miód kowieński", Marymont sławny z dobrej mąki, więc powstało przysłowie „Marymontczyk z razowej mąki".

Niektóre miasta cieszyły się jednak smutną może niezasłużoną sławą, mówiono np. „Jarmark w Radzimine na dziewki i świnie", albo „O Ryczywole zamilczeć wolę", powiedzenie pochodzące z opisu podróży biskupa Krasickiego z Warszawy do Biłgoraju. Takie znane jak „Akademja smorgońska" albo „panna jak skawińska świnia" same się tłumaczą.

By jednak poznać najważniejsze przysłowia o naszych miastach musimy puścić się w podróż rzemiennym dyszlem, zwiedzając jedno miasto po drugiem.

L W Ó W

Mówiliśmy już, że mieszkańców Lwowa uważano za wymowniejszych od obywateli innych miast. Piękne kresowe miasto nad Pełtwią słynęło też z dobrych potraw, toteż istniało przysłowie: „Dobre panom lwowskie ryby, chudakom z kapustą grzyby". Z urody kobiet i dobrego wina słynął też Piotrków: również i Grodzisk w Wielkopolsce znany był z dobrego piwa, które, do dziś zachowało swą sławę. W kalendarzu z r. 1728 znajdujemy przysłowie: „Ja mówię w Wielkiej Polszcze tu żyć jest szczęśliwie, przy krajankach tutejszych, przy grodziskiem piwie". Do Lwowa odnosi się też przysłowie: „starszy Halicz ode Lwowa", gdyż, jak wiadomo, Lwów został założony w r. 1270, Halicz natomiast istniał już znacznie dawniej.





P O L E S I E

O Polesiu istnieje mało przysłów, natomiast znamy jeden żart, anegdotę i kilka humorystycznych wyrażeń. Biota poleskie zawsze były tematem narzekań ziemian: istniało też przysłowie, a raczej „powiedzonko": „Diabeł od pińskiego błota", lub też „Diabeł piński", który przypomina żywcem owego „diabła weneckiego", wywodzącego się z Wielkopolski, ale również zamieszkującego okolice pełne mokradeł i jezior. Jeżeli chodzi o inne miasta kresowe, to m. in. istnieje przysłowie o Słucku „Starsza słucka fara, niż kalwińska wiara", oraz drugie: „Nadęty jak słucki dzbanek" co jest aluzją do pękatych naczyń, fabrykowanych w Słucku przez Szkotów, uchodźców z Anglji. O Kamieńcu Podolskim jest przysłowie: „Kamieniec jak wieniec, naokoła woda a w środku bieda".

T O R U Ń

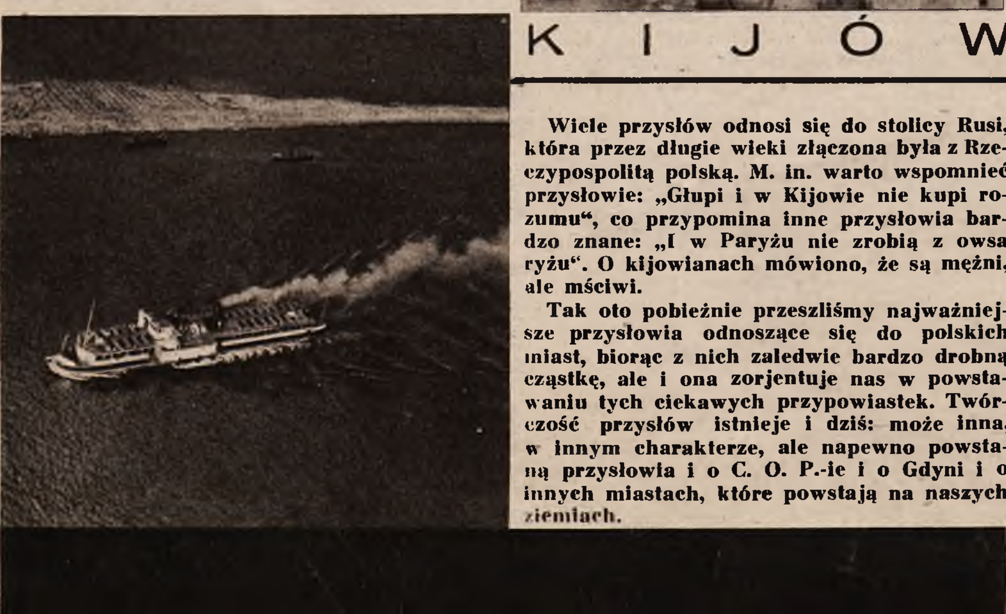
Toruń słynął zawsze jako miasto wyrabiające słynne pierniki, nic też dziwnego, że znalazły się one w przysłowiach: „czerwony jak toruński piernik", albo „piernik jak toruńska cegła". Istniały też inne: „Toruń budowny i bogaty w cnotę", bardzo zaś pochlebnie wyraża się o Toruniu przysłowie: „Nieporównane w Polszcze ma zalety, iż w nim porządek miły, iż w nim pokój złoty". Czerwoność cegły toruńskiej łatwo wytłómaczyć przewagą gotyckiej architektury, która była charakterystyczną dla tego miasta. I dziś gdy pojedziemy do pięknego pomorskiego grodu, zauważymy, że przysłowia o tem mieście nie kłamią: jest w niem jakiś miły spokój, porządek, ład ulic i ład ducha, cechy typowo wielkopolskie a jakże miłe.



K I J Ó W

Wiele przysłów odnosi się do stolicy Rusi, która przez długie wieki złączona była z Rzeczypospolitą polską. M. in. warto wspomnieć przysłowie: „Głupi i w Kijowie nie kupi rozumu", co przypomina inne przysłowia bardzo znane: „I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu". O kijowianach mówiono, że są mężni, ale mściwi.

Tak oto pobieżnie przeszliśmy najważniejsze przysłowia odnoszące się do polskich miast, biorąc z nich zaledwie bardzo drobną cząstkę, ale i ona zorjentuje nas w powstawaniu tych ciekawych przypowiastek. Twórczość przysłów istnieje i dziś: może inna, w innym charakterze, ale napewno powstaną przysłowia i o C. O. P.-ie i o Gdyni i o innych miastach, które powstają na naszych ziemiach.



SEN O PLAŻY
Fot. J. M. Brzeski





POLSKIE »ŚWIĘCONE«

Zwyczaj zastawiania stołów do święcenia w przeddzień Wielkanocy, sięga w Polsce odległych bardzo czasów. Zmieniały się formy tej tradycji, ale prastary zwyczaj pozostał nam do dziś dnia.

Czytamy w Roku Polskim Głogiera: „Hałas, tartas rwetes, wrzawa, łoskot, łomot, jak w młocarni. W izbie parno, ścisk, kurzawa, drzwi wciąż skrzypią u spiżarni. Znoszą masła, jaja, sery, mąki, cukry i korzenie. Jak jest w domu dziewek cztery, jedna się za drugą żenie. Skrobią, myją, w piecach palą, wiercą, tłuką, kręcą, wrzeszczą. Ledwie domu nie rozwalą, aż w piekarni belki trzeszczą. Wszystko kłębi się jak w garnku, ledwie na głowach nie chodzą. Co to jest? Czy wir jarmarku? Gdzietam, to święta nadchodzą".

Obory i lasy dostarczały wielkich ilości mięsiwa. Świnie i woły, dziki i sarny, zające, dzikie ptactwo i drób domowy, wszystko szło pod nóż już na kilka tygodni wcześniej.

W czasach Władysława IV. słynne było święcone w domu Sapiehów. Zastawiono je na olbrzymich stołach, skoro samych pisanek było około tysiąca. Odpowiednio do tego przedstawiała się i reszta. Cztery w całości upieczone dziki, nadziewane były szynkami, prosiętami i kiełbasami. Te dziki reprezentowały cztery pory roku, podobnie jak pieczonych 12 jeleni symbolizowało 12 miesięcy roku. Jelenie były również nadziewane w wymyślny sposób dzikiem ptactwem. Ile było do tego pieczywa i słodyczy, można sobie w duszy dośpiewać. Otaczał to wszystko wieniec bab, w takiej ilości upieczonych, ile dni mieści się w jednym roku.

Na dworze księcia Radziwiłła-Sierotki zajmowało święcone kilka sal zamkowych. Pamięć o niem zawdzięczamy Juljuszowi Słowackiemu, który tak je opisuje: „W jednej sali wśród mnóstwa drzew miodu lipcowego była sadzawka, z wyspą zielonym owsem pokrytą, na której się pasł święty baranek z chorągwią, mający oczy z dwóch karbunkułów, ze skarbca księcia wyjętych, które błyszczały niezmiernie. Na tego baranka godziło czterech dzików okropnej wielkości, upieczonych całkowicie, a dwanaście jeleni ze złoconymi rogami w różnych pozyturach wyskakiwało z lasu, który był z drzew pomarańczowych, różnemi konfektami obrodzony".

„Gdy tu same mięsiwa, to w przyległej komnacie były ciasta i napoje, niemniej misternie ułożone. Nie lasy tam, ale baby podobne skałom, nosiły na głowach z migdałowych murów grody i fortece. Coś nawet podobnego Jerozolimie widać było, albowiem śród cukrowych domów ukryte ananasy, koronami szaremi naśladowały palmowe drzewa, a w bramach zaś figurki cukrowe w szmelcowanych paneerzach i z krzyżami czerwonymi na piersiach, jako Jerozolimscy Rycerze z czasów Godfreda, stali na straży".

Jak wyglądała zastawa sali z pasztetami czytamy na innem miejscu tej niezwykle drobiazgowej relacji. Pasztety te przygotował słynny kucharz książęcy, Loga. Po wejściu gości, uniósł on nakrycie jednego pasztetu, z którego wyleciało wielkie mnóstwo żywych kuropatw, jemiełuch, gołębi, jarząbków, ortolanów, które potłukłszy okna powylatywały na dziedziniec, gdzie strzelała do nich zebrana i tam szlachta. W drugim pasztecie upostaciowany był Laokoon skrępowany wężami. Siedział tam mianowicie karzeł książęcy, spowity kiełbasami „jakby ów Laokoon właśnie, pasujący się z gady Minerwy".

„W trzecim pasztecie co, zapytał pan Sierotka? Na to kucharz odpowiedział po włosku, iż była tam Andromeda, przykuta do skały łańcuchami a smokowi oddana na pożarcie — jako i po rozbiciu trzeciego pasztetu znaleźliśmy karlicę księcia, Dyannę, która święconemi salcesony przywiązana była za ręce do pasztetu, a przed nią leżał ogromny szczupak, mający zamiast własnej głowę dzika, z paszczęką otworzoną, która bezwątpienia karlicy owej mogła być grobem".

„Nie będę tu opisywał mnogości różnej konwi, roztruchanów, czar złotych i srebrnych i kryształowych i win różnych i miodów i małmazyów, które się tam obficie znajdowały, a żem się i tak nadto długo nad opisaniem rzeczy tych zastanowił, to może dlatego, iż nieraz później w pustyniach głów cierpiąc, wspomniało się na owe święcone z niejakim żalem i z chciwością, nieprzystojną filozofowi".



Menu świąteczne

Święta rzym.-kat.	Tydzień 15 — Kwiecień — Dni 30
Niedziela **9** Wielkanoc	Bulion z pulpetami. Pasztet strassburski. Jagnię pieczone i szynka z sałatą zieloną. Kompoty. Torty. Owoce. <u>Kolacja</u>: Szynka z sosem remoulad. Ciasta. Owoce.
Poniedziałek **10** Poniedz. Wielk.	Zupa z drobiu. Omlety z szynką. Indyk z kasztanami. Sałata. Kompot. Mazurki. Owoce. <u>Kolacja</u>: Indyk na zimno z ostrą sałatką.
Wtorek **11** Leona p.	Grochówka na wędzonce. Budyń z szpinakiem. Ciepła szynka z sałatą z kiszonej kapusty. Róże wielkanocne. <u>Kolacja</u>: Jaja na szynce.
Środa **12** Juliusza p.	Barszcz na rosole z uszkami. Rizotto z podróbkami. Bitki cielęce w sosie cytrynowym. Legomina z czerstwych ciast drożdżowych. <u>Kolacja</u>: Miseczki kiełbasiane z jajecznicą.
Czwartek **13** Justyny p.	Rosół z grysikiem. Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Kura z rosołu z sałatą. Kompot z śliw suszonych. <u>Kolacja</u>: Jaja w śmietanie.
Piątek **14** Waleriana	Barszcz zabielany z ziemniaczkami. Omlet z grzybkami. Szczupak w sosie sardelowym z makaronem. Galaretka pomarańczowa. <u>Kolacja</u>: Wędzone ryby z chlebem.
Sobota **15** Anastazji	Zupa jarzynowa z płatkami. Naleśniki z kaszką krakowską. Fałszywy zając z kluseczkami. Budyń ryżowy. <u>Kolacja</u>: Kiełbasa z kapustą.







Nasz konkurs

Podobnie jak w poprzednich latach tak i tym razem zaprasza Redakcja „Asa" wszystkie swe Czytelniczki do wzięcia udziału w Konkursie na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny. Jak przekonaliśmy się kilkakrotnie, istnieje w szerokich sferach naszego społeczeństwa duże zrozumienie dla utrzymania pięknej tradycji wielkanocnej, która obok zwyczajów łączących się ze świętami Bożego Narodzenia tworzy najbardziej estetyczne i swojskie ramy dla tych pięknych świąt. Osoby uczestniczące w Konkursie proszone są o nadsyłanie zdjęć wielkanocnego stołu na lśniącym papierze, a specjalne Jury zajmie się nagrodzeniem najbardziej udanych z pośród nich cennemi nagrodami, które podamy w jednym z najbliższych numerów. Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 21 kwietnia. Sądząc po dotychczasowem powodzeniu naszego konkursu, redakcja „Asa" ma nadzieję, że i tym razem wezmą w nim udział liczne Panie, które dbają o utrzymanie pięknej staropolskiej tradycji wielkanocnego stołu.

REDAKCJA.



POLSKIE »ŚWIĘCONE«

Z kurczeniem się wielkopańskich dworów gasł ten szalony przepych staropolskiego święconego, jakkolwiek kultywowany po zaściankach i dworach szlacheckich, dotrwał w skromnych rozmiarach małego stołu wielkanocnego do naszych czasów. Zapobiegliwa gospodyni ustawia na nim półmiski z mięsiwem, lukrowane baby, przekładańce, torty, patery z owocami, pisanki czy też zwyczajne jaja gotowane na twardo, chrzan, sól, pieprz, ocet i oliwę, oraz kilka otwartych butelek ze szlachetnymi napojami. Miseczka z wodą i kropidełko, czekają na kapłana, który przybywa z ministrantem, dokonać obrzędu święcenia.

Skromny baranek, cukrowy lub marcypanowy, ustawiony na podstawce, zieleniejącej się młodziutką rzeżuchą, trwa jak i dawniej na posterunku stołu wielkanocnego.

PASZTET Z WĄTRÓBKI CIELĘCEJ NA WZÓR STRASSBURSKIEJ. Białą cielęcą wątróbkę tz. z zupełnie młodego cielęcia, wkłada się do mleka na 24 godzin, obciągnąwszy ją poprzednio z błony. 25 dkg mięsa cielęcego i tyleż młodej słoniny dusi się razem z średniej wielkości cebulą i troszką korzeni przy podlewaniu rosołem z kości cielęcych. Kiedy mięso zupełnie już miękie, dokłada się wątróbkę wyjętą z mleka i dusi dalsze 15 minut, poczem się wszystko przestudza, przemiela dwa razy i fasuje przez sito. Przetartą masę soli się, dodaje troszkę pieprzu i gałki muszkatowej, wbija 2—3 jaj i miesza drewnianą łyżką przez 10 minut. Ładną tuczną wątróbkę gęsią, osmaża się szybko z wszystkich stron na szmalcu, nie dając się jej jednak zrumienić i kraje ją w niezbyt cienkie plastry. W okrągłej formie, natartej masłem, układa się warstwę farszu na niej plastry wątróbki i gotowanych trufli, następnie znów farsz itd., ostatnią warstwę stanowić ma farsz. Wierzch kropi się masłem lub smalcem gęsim, przykrywa pokrywą i gotuje pasztet na parze, lub też piecze przez godzinę w niezbyt gorącym piecyku. Pasztet należy wyjąć po zupełnem ostudzeniu. Po wyjęciu oblewa się go smalcem i kraje w cienkie plastry.

PULPETY MIĘSNE DO ROSOŁU. Pierś młodej kury lub mięki, bez żył, kawałek cielęciny, przemiela się dwa razy wraz z małym kawałkiem bułki rozmoczonej w mleku, następnie fasuje się przez sito. Do masy dodaje się 2 żółtka utarte z łyżką masła, łyżeczkę siekanej pietruszki, troszkę soli i pieprzu i łyżkę duszonych pieczarek lub grzybków z konserw. Do dobrze wymięszanego farszu, dodaje się pianę z 2 białek. Z gładko wyrobionej masy sporządza się małe gałeczki wielkości laskowego orzecha i gotuje je na wodzie przez 20 minut. Wyjęte łyżką dziurkowaną z wody wprost do wazy, zalewa się gorącym rosołem.

TORT FIGOWY. Tort ten składa się z trzech placków. Dwa kruche i jeden figowy, połączone jakąś kwaskowatą marmoladą. Na placki kruche bierze się oddzielnie tyle masła, cukru i mąki, ile zaważą 3 jaja. Masło utrzeć doskonale, samo, potem dodać cukier, a później po jednemu 3 całe jaja, ucierając doskonale po każdem z nich, nakoniec dać mąkę. Z tego piecze się na wolnym ogniu 2 placki na jasno złoty kolor. Na placek figowy ubija się pianę z 5 białek, dodając do niej 1/2 f. cukru, 1/2 f. zmielonych na maszynce od mięsa fig i 1/2 f. obranych i zmielonych migdałów, oraz sok i skórkę z cytryny. Upiec w formie wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Lukier cytrynowy.

TORT KAWOWY. Do piany z 7 białek wmieszać 21 dkg cukru, 21 dkg obranych zmielonych migdałów, 2 łyżki przesianej tartej bułki i 1 dkg mielowej kawy. Upiec z tego 2 placki na tortownicy wysmarowanej woskiem i wyłożonej opłatkiem. Przełożyć następującą masą: 3 listki żelatyny rozpuścić w 1/2 filiżance mocnej czarnej kawy. Dodać to do 4 żółtek, utartych z 10 i pół dkg cukru. Osobno utrzeć 21 dkg masła i po łyżeczce dodawać je do przygotowanego kremu, dobrze mieszając, aż wszystko masło wejdzie. Lukier kawowy: 1/2 f. cukru zalać 1/2 kwaterką czarnej mocnej karwy i gotować aż się zrobi pomadka. Próbujemy kroplę na zimnym nożu. Gdy się ścina wylewamy lukier na tort nie dotykając go nożem.

KOLORY MÓWIĄ O DALEKICH *KRAJACH*



J. Pankiewicz — pejzaż z południa Francji.

Literatura podróżnicza posiada olbrzymią tradycję i wielowiekową historję. Średniowieczne rękopisy, czy wreszcie późniejsze druki przynosiły czytelnikowi opisy dalekich krajów, które wyłaniały się z biegiem lat z mórz całego świata — odkrywane przez różnojęzycznych żeglarzy. Nie wszyscy oni, rzecz oczywista, spisywali osobiście swe przeżycia. Według ich opowiadania — stylizował wywody i opisy — literat, artysta, posiadający znajomość wartości słowa i moc jego oddziaływania na czytelnika.

Obok opisów nowopoznanych krajów — zarysowała się wkrótce potrzeba podkreślenia ważności wypadków oddanych słowem — akcentem optycznym — ilustracją.

Tak więc tekst książki prawie zawsze, a ilustracje wyłącznie — preparowane były na miejscu na podstawie relacji żeglarzy i podróżników.

Nieścisłości między wizerunkami, czy kolorytem danego kraju, wykonanym w Europie, często nawet przez artystów o wielkiej wyobraźni — różnić się musiały zasadniczo od rzeczywistości.

Przykrem jest, że w czasie, kiedy świat poznany już mniej więcej dokładnie, świat opasany szeregiem linij i szlaków okrętowych skurczył się i stał się dostępny dla tych malarzy, którzy swem wrażliwem i czułem na odrębny i nowy koloryt okiem — najlepiej mogliby ten świat Europie zrelacjonować — pojawił się aparat fotograficzny.



Paul Gauguin — Tahiti.



Van Dongen — Lasek Buloński w Paryżu.

Kostyczna oschłość spojrzenia „szklanego oka", precyzja notowania kształtu przy jednoczesnem przekreśleniu koloru — pozbawiła świat czytelników pięknej książki — opisu podróży opatrzonej ilustracją wiernie malującą nieznany ląd przy jednoczesnem podkreśleniu i przerysowaniu cech charakterystycznych danego aspectu.

Francuzi, którzy obdarzyli nas bodaj najpiękniej wydanemi książkami, rozumieją doskonale wartość artystycznego dokumentu podróży. Świadczy o tem najlepiej fakt, że sławna wyprawa samochodowa pewnej firmy francuskiej wgłąb Afryki — nie zapomniała uzupełnić załogi aut, malarzem, którego ilustracje ozdobiły książkę i który przywiózł z czarnego lądu całą kolekcję dużych kompozycyj. Malarzem tym był Aleksander Jakowlew.

Malarstwo sztalugowe, nieskrępowane technicznemi trudnościami, najbardziej zbliżyło się do ideału impresyjnego odtworzenia kolorytu dalekich ziem.

Istnieje szczególna właściwość oka ludzkiego. Człowiek mieszkający w pewnym klimacie oswaja się z jego charakterem i wrażliwość na otaczający obraz maleje. Dopiero wyjazd, zmiana otoczenia uczula na nowo oko na wszystko, co może ono obserwować.

Znając ten specyficzny moment w odnoszeniu się człowieka do obrazu widzianego — trzeba uświadomić sobie, że w obrazie malarza, który zmienił otoczenie i namalował go w obcem od codziennego środowisku — znaleźć można skondensowaną esencję tego, co w danym kraju jest specyficzne, co stanowi jego duszę i „smak".



Jan Hrynkowski — pejzaż polski.



Henri Rousseau — lato.



Henri Matisse — odaliska.

Nie sposób na tem miejscu wymienić tych wszystkich malarzy, którzy czy to poświęcili się malarstwu „dokumentarnemu" — czy też przywożą co roku ze swych podróży kolekcje prac, zasługujących na to samo miano.

Odwieczna tęsknota za włóczęgą, potęgowana jeszcze odpowiednią propagandą turystyczną, powoduje rok rocznie latem prawdziwe wędrówki ludów. Coraz częściej galerje i wystawy upodabniają się do



Vincent Van Gogh — łodzie na wybrzeżu.

artystycznego prospektu, który ukazuje oczom publiczności daleki świat w tak intensywnej zarówno pod względem koloru jak i treści formie, że nawet kino operujące ruchem — zostaje zdystansowane.

Malarzem, którego niepodobna tu nie wymienić, nietylko z racji artystycznej spuścizny, jaką po sobie pozostawił, ale przedewszystkiem z powodu jego burzliwego życia, jest Paweł Gauguin.

Historja jego jest dość osobliwa. Kiedy życie w mieście, w plątaninie konwenansów i zakłamania uprzykrzyło się ostatecznie temu wolnemu Francuzowi, postanawia on wyjechać na „dzikie" wyspy. Pierwsze kroki na nowej ziemi prowadzą go do Papeete na Tahiti, które jest małem zwierciadłem Europy z wszystkiemi jej wadami.

Na szczęście Gauguin posiada bystry umysł. Orjentuje się szybko i szuka schronienia w nieskażonej przyrodzie wysp południowych. Znajduje miejsce izolowane jeszcze wtedy od wpływów białej kultury i tam odnajduje siebie.

Gauguin tak pisze o swem oswajaniu się z nowym światem:

„Życie staje się lepsze z każdym dniem.

Doszedłem do niezłego rozumienia języka maoryjskiego, niebawem będę nim władał bez trudności.

Moi sąsiedzi — patrzą na mnie jak na swego...

Ciało moje prawie ciągle nagie, znosi już bez przykrości słońce.

Zaczynam się powoli wyzbywać cywilizacji.

Zaczynam myśleć poprostu... zaczynam kochać bliźniego"...

Gauguin pracował na Tahiti bardzo intensywnie, oszołomiony słońcem i barwami — dawał impresje, które dziś stanowią rozdział w historji malarstwa.

Po pierwszym dwuletnim pobycie na Tahiti, dwukrotnie jeszcze wracał na wyspę, i tam, w r. 1903, zakończył życie, ginąc w obronie młodej Tahityjki przed atakami... francuskich marynarzy...

Widocznie Jack London miał rację, pisząc o Tahiti, że jest to najcudowniejszy zakątek świata, raj zamieszkały przez złodziei i rzezimieszków z całego świata...

Przybrana ojczyzna Gauguin'a dała malarzowi najbarwniejsze lata żywota, rozkwit twórczości i spoczynek wieczny, w myśl wyraźnego kiedyś życzenia.

jot.



André Derain — port nad morzem Śródziemnem.



Ernest Fiene — horyzont Nowego Jorku.

BOGDAN BRZEZIŃSKI

Starzec z anielskiemi włosami

HUMORESKA

Otrzymaliśmy następujące pismo:

„Kochany „Asie“!

Doprawdy, trzeba napiętnować postępowanie niektórych ludzi! Mam na myśli owych niedobrych ludzi bez serca, którzy nie mają szacunku nawet dla siwego włosa i dokuczają biednym, poczciwym staruszkom, którzy pragną w pocie czoła zarobić na kawałek chleba. Otóż byłem świadkiem następującego zdarzenia:

Na rogu dwóch ruchliwych ulic, pod murem starej, omszałej kamienicy, stał starzec z siwą brodą i wykrzykiwał raz po raz:

— Włosy anielskie, ognie sztuczne, świeczki, śnieg na choinkę!

Ludzie mijali go obojętnie, a jakiś młokos pozwolił sobie na głupią uwagę:

— Ty, stary, w ognie sztuczne szarpany! Czyś pan zwarjował? Chcesz pan, żeby teraz świeczki i śnieg na choinkę kupowali? Przecież to Wielkanoc! Baranki z cukru i zajączki z czekolady pan sprzedawaj, to będą kupować!

A na to poczciwy staruszek odpowiedział łagodnie, ale głosem nabrzmiałym łzami:

— Proszę pana (tego wstrętnego młokosa tytułował „panem“!), ja już sam nie wiem, co mam robić... Kiedy w zeszłym roku, w grudniu, sprzedawałem baranki z cukru i czekoladowe zajączki, to ludzie się ze mnie śmiali i mówili, że powinienem raczej ognie sztuczne, śnieg azbestowy i włosy anielskie sprzedawać... A jak posłuchałem tej rady i sprzedaję rzeczywiście włosy anielskie, świeczki i śnieg, to mi ludzie mówią, że zwarjowałem. Sam już nie wiem, jak postępować.

I drżącym głosem starowina począł wykrzykiwać:

— Włosy anielskie, świeczki kolorowe, śnieg na choinkę!...

Mam nadzieję, że Tygodnik Panów, który zawsze bronił starców i sieroty, a zwłaszcza, gdy starcy są sierotami, i tym razem ujmie się i napiętnuje.

Z prawdziwym szacunkiem

Amicus Hominorum“.



Słuchowisko.

W ramach Teatru Wyobraźni w ostatnich dniach nadała radjostacja krakowska kilka wybitnie wartościowych słuchowisk, przygotowanych bardzo sumiennie. Do tych pozycyj należą przedewszystkiem dramat Calderona „Kochankowie nieba", w oprac. A. Woycickiego, dalej słuchowisko pt. „Mikołaj Kopernik', w oprac. K. Grzybowskiej i L. H. Morstina, wreszcie mało znana komedja Fredry „Nikt mnie nie zna", w oprac. K. Szuberta. Wszystkie wymienione słuchowiska bardzo ciekawie reżysersko przygotował S. Broniewski, a brali w nich udział artyści krakowskiego teatru, z których na szczególne uznanie zasługują J. Jabłonowska, S. Czajkowski, W. Nowakowski, W. Woźnik, K. Szubert, W. Macherski oraz L. Meyerholdowa. — W okresie poświątecznym usłyszymy z Krakowa komedję J. I. Kraszewskiego p. t. „Radziwiłł w gościnie" w oprac. K. Szuberta. Słuchowisko to nadane zostanie w **piątek 14 bm.** o godz. 18.30. — We **wtorek 11 bm.** o godz. 21-ej usłyszymy z Krakowa „Nocleg w Apeninach", operę komiczną F. Mireckiego, wg. komedji A. Fredry w oprac. W. Ormickiego, w wyk. solistów, chórów i krakowskiej orkiestry symfonicznej, a w radjofonizacji S. Broniewskiego.

Wybitnie ciekawemi słuchowiskami będą także nadawane przez inne stacje: w **Wielką Niedzielę** 9 bm. o godz. 17-ej „Historja o chwalebnem Zmartwychwstaniu Pańskiem", misterjum Mikołaja z Wilkowiecka w oprac. S. Kubickiego, a o godz. 21.30 „Wyprawa pana Prota" J. Blizińskiego; w poniedziałek zaś 10 bm. o godz. 16.45 „Nowe lato", słuchowisko obrzędowe K. Brończyka.



Marja Kuncewiczowa.



Henryk Sztompka.

NOWA POWIEŚĆ MÓWIONA.

Znakomita pisarka Marja Kuncewiczowa, opracowała obecnie nowy utwór powieściowy p. t. „Djalog o zmierzchu", który nadany zostanie w dniach **od 9 do 13 bm.** o g. 19.15.

AUDYCJE LITERACKIE I MUZYCZNE od 9—15 kwietnia.

Z najciekawszych audycyj zanotować ponadto należy: w **Wielką Niedzielę 9 bm.** o godz. 7.20 „Pieśni wielkanocne" w wykon. chóru R. P.; o godz. 20.30 „Wieczór operowy", wyk. ork. symf. P. R. pod dyr. G. Fitelberga z udziałem M. Karwowskiej, J. Popławskiego i K. Poredy. — W **poniedziałek 10 bm.:** o godz. 12.15 poranek symfoniczny, poświęcony muzyce Wagnera; o g. 17.20 „Sensacja w Trocadero" operetka w 7-miu obrazach W. Goetzego z udziałem A. Szlemińskiej, L. Romanowskiej i in.; o g. 22.00 „Na Kleparowie", wesoła audycja w oprac. W. Budzyńskiego, Szczepka i Tońka. — We **wtorek 11 bm.** o godz. 17.20 koncert utworów fortepianowych L. Różyckiego w wyk. W. Trockiego. We **środę 12 bm.** o godz. 21.00 „Koncert szopenowski" w wyk. P. Lewieckiego. — We **czwartek 13 bm.** o godz. 16.40 „Karnawa" R. Schumanna w wyk. znakomitego wirtuoza Henryka Sztompki. O godz. 18.30 opowieść o Moniuszce w oprac. prof. U J. Zdzisława Jachimeckiego, zaś o godz. 21.00 „Peregrynacja dziadowska" Stan. Wasylewskiego. W **piątek 14 bm.** o godz. 16.35 „tradycyjne polonezy" w oprac. R. Pragłowskiego, o g. 21.00 „Ostatnia podróż małego Kaja" opowiadanie Jarosława Iwaszkiewicza, zaś o g. 21.22 transmisja pierwszego koncertu symfonicznego z międzynarodowego festivalu muzyki współczesnej. W **sobotę 15 bm.** o g. 16.20 kronika literacka w oprac. prof. A. Tretiaka, zaś o g. 16.35 recital śpiew. Stani Zawadzkiej.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne "IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.


W. Ellesmere
W. Devon
Grenlandja
M. GRENLANDZKIE
BEAUFORTA
Archipelag Franklina
W. Wiktorji
Zat. Baffina
Upernivik
Islandja
STANY ZJEDNOCZONE
Zwrotnik Raka
MEKSYK
Kuba
COSTA RICA
NIKARAGUA
OCEAN
ATLANTYCKI
Francuska Afryka Zachod
Timbuktu
Kankan
Nigerja
Marokko
Alger
Tunis
Madryt
Lizbona
Paryż
Cherbourg
KOLUMBJA
Bogota
WENEZUELA
GUJANA
Manaus
Quito
PERU
Lima
BRAZYLJA
Petrolina
BOLIWJA
La Paz
Corumba
Sucre
ARGENTYNA
Valparaiso
Juan Fernandez
(chil.)
Bahia Blanca
Puerto Mont
W. Wielkanocna
(chil.)
Tristan da Cunha
Sw. Helena